WTOREK Nr 79 31 VIII 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ALARM DLA MIASTA WARSZAWY

1 września 1939 roku nad Warszawą wstawał piękny poranek złotej polskiej jesieni. Ruch powoli ożywiał się. Coraz więcej ludzi na ulicach, coraz tłoczniej w tramwajach.

Tego dnia miał zabrzmieć pierwszy po wakacjach dzwonek – na rozpoczęcie nowego roku szkolnego. Aż nagle... jedna, druga, trzecia – głuche detonacje targnęły miastem. O godzinie siódmej trzydzieści głos radiowego spikera zelektryzował wszystkich: wojna...

Już od bardzo wczesnych godzin rannych na ziemiach polskich toczyły się walki. Niemiecka nawała runęła zdradziecko na nasz kraj. Od razu w pierwszych godzinach wojny lotnictwo niemieckie dosięgnęło stolicy.

„Ogłaszam alarm lotniczy dla miasta Warszawy"... – z głośników Polskiego Radia płynęły komunikaty, przerywane szyfrowanymi informacjami obrony przeciwlotniczej: „Uwaga, uwaga, przeszedł! Ko-ma 3"...

CIĄG DALSZY NA STR. 4–5

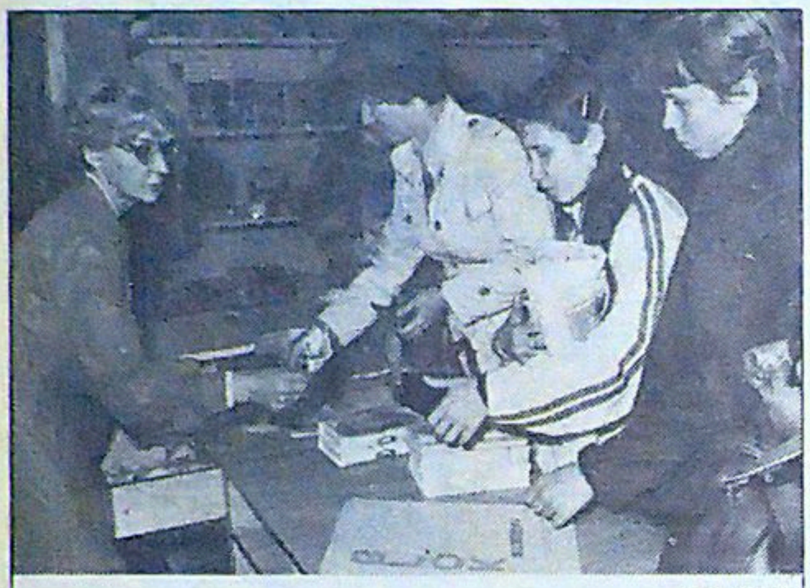

Fot. CAF

TALON DLA UCZNIA KLASY I UPOWAŻNIA DO ZAKUPU MINIMUM NIEZBĘDNEGO WYPOSAŻENIA DO NAUKI, A WIĘC:

- 1 blok rysunkowy
- 1 pudełko kredek bez oprawy
- 1 pudełko kredek w oprawie
- 1 zeszyt do wycinanek
- 1 ołówek grafitowy
- 1 temperówka
- 1 gumka
- 1opakowanie plasteliny
- 1 opakowanie farb akwarelowych + pędzelek

WYDZIERANIE KARTEK SUROWO WZBRONIONE

WARSZAWA (CAF). Niedostatek na rynku przyborów szkolnych oraz zdarzające się niestety dość często nadmierne ich wykupywanie przez zapobiegliwych rodziców, spowodowały objęcie reglamentacją niektórych atrybutów uczniowskich. I tak, tylko za talon można kupić zeszyty, gumki, ołówki, kredki i farby. **(dr)**

LIST Z KOLONII

PANNA ŚMIESZNOTKA

Kochani Rodzice! Jestem w grupie IV, czuję się dobrze. Koleżanki są fajne, a najlepsza jest Wandzia. Pani mówi, że Wandzia strasznie łobuzuje. Uważam, że pani ma do niej świętą cierpliwość. Już pierwszego dnia zauważyłam, że Wandzia jest jakaś dziwna. Śpi z nogami na poduszce, a głowę przykrywa kocem. Wandzię przezywamy „Panna Śmiesznotka". Przed kilkoma dniami była „Wyprawa traperska". Każda grupa dostała zadanie, które musiała zrealizować przez 3 dni. W związku z tą wyprawą poszliśmy do Wolińskiego Parku Narodowego. Wstąpiliśmy do rezerwatu żubrów. Jest tam kilka żubrów, a jeden jest taki wielki, że człowiek wygląda przy nim jak myszka przy mnie. Nogi ma grube i wielkie, w talii też jest bardzo gruby. Łeb ma jak skała, a uszy jak setki wachlarzy. Obok białych kłów ma coś dziwnego, zwisającego aż do ziemi. Nagle ten dziwny żubr skłonił się przed nami. Śmiesznotka nie namyślając się długo, złapała się jego kłów i jednym susem była na grzbiecie. Dziwne stworzenie zaczęło tańczyć w kółko, a Wandzia śmiała się, trzymając go za uszy. Wreszcie, gdy oboje byli zmęczeni, zeskoczyła na ziemię. Pohuśtała się na jego zwisającym nosie potrząsnęła serdecznie jego olbrzymią łapą i wróciła do nas.

Asia

WITAJ, SZKOŁO! SPOTKAMY SIĘ JUŻ JUTRO! NASTĘPNE WAKACJE – ZA TRZYSTA TRZY DNI!

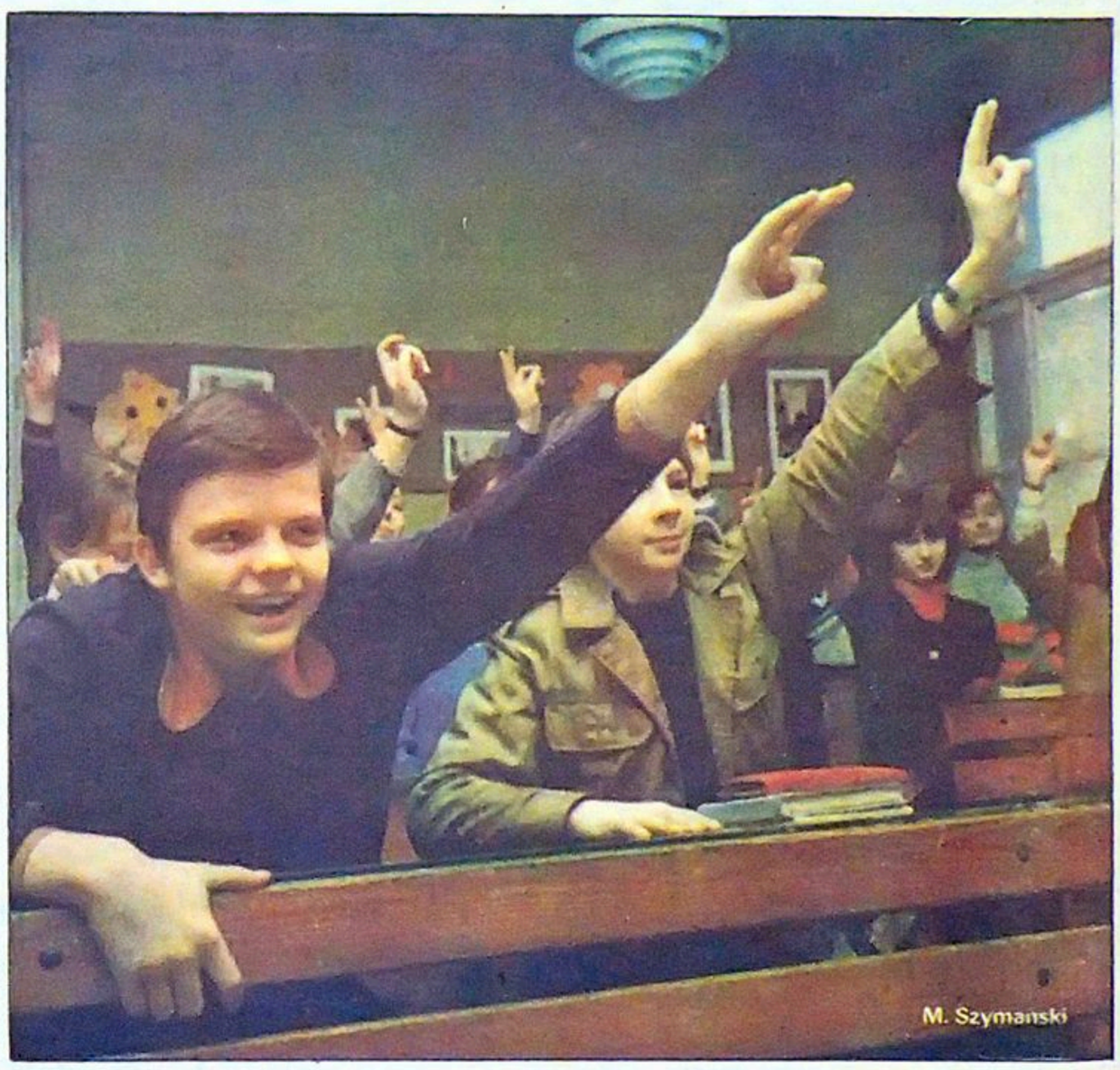

M. Szymański

● WTP-82 przedłużamy na jesienne weekendy ● Kto został laureatem maskotkowego konkursu? ● Dziękujemy za listy, meldunki, opisy! ● Czekamy na jesienne szkolne korespondencje!

Mija ostatni z 62 wakacyjnych dni. Jutro pierwszy dzwonek nowego – 1982/83 roku szkolnego. Były to wakacje gorące i pracowite, ale także ruchliwe i pełne przygód. Staraliśmy się pomóc Wam spędzić je jak najciekawiej. Nasza Wyprawa Tysiąca Przygód 82 – towarzyszyła Wam w każdym wakacyjnym numerze „Świata Młodych".

Fajno jest, gdy zastęp w lecie ma takiego doradcę, jak strona ze słoneczkiem w naszej gazecie – pisał Franek Ch., zastępowy „Drwali" z Bieszczad. A Renata K. z Porąbki stwierdza, że całymi garściami korzystali z naszych „trójek" ci, ***którzy te wakacje spędzali w domu i szukali pomysłów na 24 godziny wolnego czasu.*** Takich stwierdzeń są w listach setki.

Dlatego proponujemy: niechaj każdy zastęp środowiskowy, każda paka wakacyjnych przyjaciół, każda dziewczyna czy chłopak – przedłużą sobie Wyprawę Tysiąca Przygód 82 na wszystkie wolne soboty i niedziele nadchodzącej jesieni! Nasze hasło: **ZATRZYMAĆ LATO!** Tym bardziej, że prawdziwa jesień kalendarzowa rozpocznie się dopiero pod koniec września...

CIĄG DALSZY NA STR 3

NAZYWAM SIĘ DROMEDAR!

Dobiega końca sobotni dzień. Włączam telewizor i spoglądam na fragmenty 54-tych Międzynarodowych Targów Poznańskich, gdyż akurat kamery telewizyjne transmitują wybór „Mister Eksportu".

W pewnej chwili przed mymi oczyma zarysowuje się konstrukcja „latającej maszyny" – **Dromader** – PZL M18, przeznaczonej na eksport do II obszaru płatniczego. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego gdyby nie nazwa: **DROMADER**.

Drodzy producenci – nie obrażajcie wielbłądów jednogarbnych, potomków prastarej linii zwierząt wywodzących się z Ameryki Północnej, z trzeciorzędu.

Obok usług oddawanych mieszkańcom azjatyckich i arabskich stepów, żyjących na terenach pokrytych ruchomymi piaskami – jako zwierzęta juczne i pociągowe, historia mówi o przykładach wykorzystywania wielbłądów w charakterze wierzchowców bojowych. Po raz piewszy miało to miejsce w 2400 roku p.n.e. – za czasów Sargona I. Później Herodot opisuje, jak król perski pokonał w bitwie o Sardes w 546 roku p.n.e. Krezusa z Lidii, tylko i wyłącznie dzięki wprowadzeniu do walki oddziałów jeźdźców na **dromedarach**. Wizerunek tego zwierzęcia można już spotkać na bardzo starych statuetkach z okresu faraonów. Stworzenia, których mięso ani mleko nie jest najlepsze; których rzadka sierść, po skomplikowanej obróbce nadaje się na zdobne tkaniny; które są trudne w obcowaniu, gdyż bywają agresywne, wręcz niebezpieczne; które w końcu od dawien dawna oddawały ludziom usługi dzięki ewolucyjnym przystosowaniem do życia w niezwykle ciężkich warunkach środowiskowych i klimatycznch – zwą się **DROMEDARAMI**. Ich nazwa wywodzi się od łacińskiego określenia *Camelus dromedarius*.

Tak więc, nim następne produkowane „latające maszyny" zostaną opatrzone wizerunkiem wielbłąda jednogarbnego, nim pofruną ponad polami – w „ich imieniu" proszę o zmianę nazwy, która z wielbłądem nie ma nic wspólnego!

BARBARA CHOLEWA

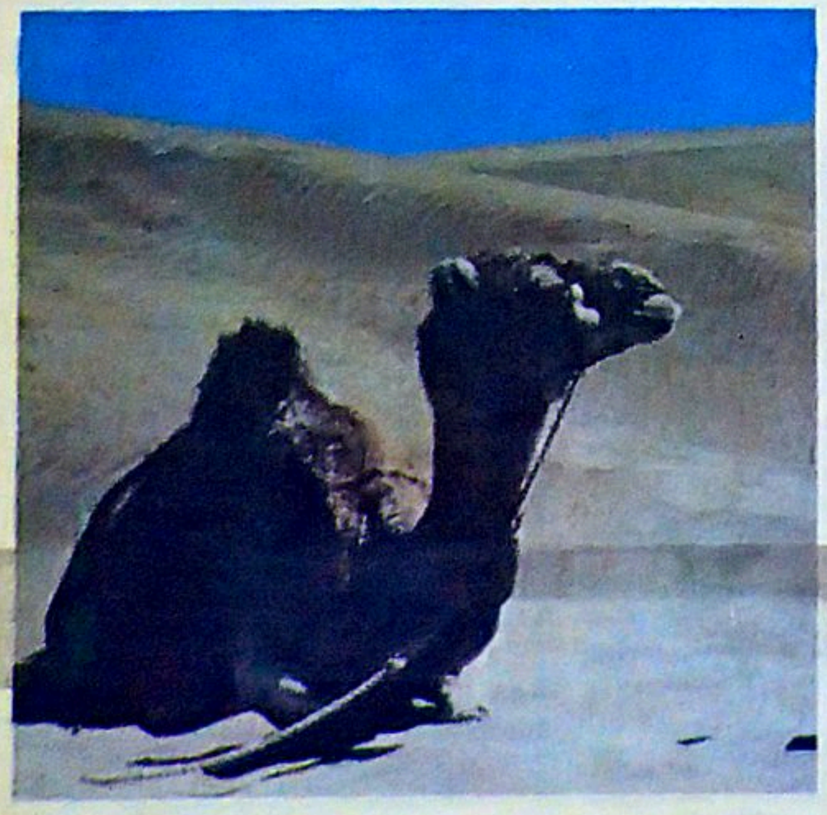

Fot. archiwum

MARYNARSKIE HOBBY

Ludzie morza, w czasie wolnym od wacht oddają się przeróżnym artystycznym zajęciom. Jedni malują, rzeźbią, fotografują inni piszą wiersze czy też opowiadania. Każdego roku Ośrodki Kultury Morskiej w Gdyni i Szczecinie organizują wystawy marynarskich prac i nierzadko można tam spotkać prawdziwe dzieła sztuki. Pan Kudelski oficer nawigator, wyplata ze sznura urocze postacie. Te, które widzicie na zdjęciu, przedstawiają groźnego pirata i jego małżonkę.

Fot. W. Mroczek

Witaj lato!

Witam!

Ostatni dzień wakacji... Szkoda.

Trochę wrażeń z lata dostarczą Wam listy, jakie znajdziecie na tej stronie.

Wszystkim autorom dziękuję, że odpowiedzieli na hasło „WITAJ LATO", a ponieważ nie wszystkie listy zmieściły się w „Świecie Młodych" w lipcu i sierpniu – wakacyjne wspomnienia zamieszczę jeszcze i we wrześniu.

Wkrótce ogłoszę nowy temat do dyskusji!

Szef
Ligi Reporterów

KLUB TYSIĄCA PRZYGÓD WE FRYWAŁDZIE

W lipcu wyjechałem do Frywałdu na obóz przyrodniczy organizowany przez Wojewódzką Spółdzielnię Mieszkaniową. Po zapoznaniu się podczas ogniska z kadrą, wytypowane zastępy poszły na łowy nocnych motyli. Wszyscy byli zaciekawieni jak takie łowy będą wyglądać. Okazało się, że ćmy przylatywały do lampy. Dowiedzieliśmy się w jaki sposób to się dzieje. Motyle nocne kierują się światłem księżyca. Zapamiętują sobie kąt światła i drogi lotu. W momencie, kiedy pojawi się lampa, owad uważa ją za księżyc i systematycznie zbliża się do niej, ponieważ musi utrzymać ustalony kąt.

Nazajutrz budowaliśmy totemy zastępów, spenetrowaliśmy okolicę. Objedzeni borówkami i poziomkami wróciliśmy na ocenę totemów. Kilka dni potem odbyły się łowy ważek. Chętni biegali z siatkami po łące, łapali ważki, zatruwali je i preparowali. Przy okazji widzieliśmy kilka ciekawych scen z życia owadów.

W obozie urządzone zostało małe ZOO. Trzymaliśmy tam ropuchy, traszkę, jaszczurkę, która pod koniec obozu złożyła jajka. Wieczorem odbyła się pierwsza prelekcja pana Jana Bajgiera w „Klubie Tysiąca Przygód". Wychowawca mówił o swoich przeżyciach w Afganistanie. Wspaniałomyślne kierownictwo po bardzo interesującej prelekcji urządziło nam dyskotekę. Kiedy przyszła kolej na nocną wartę naszego zastępu, z pałami w ręku strzegliśmy obozu. Warta upłynęła bez przygód. Tylko raz nasz obóz odwiedzili nocni goście, ale po udanej interwencji warty i kadry – pierzchli zostawiając ślad po sobie w postaci rozwalonych bramek.

Aby uprzyjemnić nam czas zorganizowano piłkarskie rozgrywki między zastępami. Niestety, pogoda nie dopisywała. Jak tylko rozpogodziło się, zorganizowano wycieczkę do Doliny Sanki. Po drodze zbieraliśmy kamienie z odciskami muszli do Muzeum Osobliwości naszego obozu. Po powrocie odbyły się zawody łódek z kory. Końcowym efektem dramatycznej walki było zwycięstwo Agnieszki Różyckiej (Stokrotki),

Z radością wyruszyliśmy na wycieczkę do sąsiedniej wsi. „Urwaliśmy się" w 18 osób z grupy, wskoczyliśmy na przejeżdżającą furmankę chcąc być wcześniej u celu. Obejrzeliśmy obraz Matki Boskiej – dzieło artystów ludowych – malowany na skale. Wezwani do powrotu przez sprinterki wysłane z polecenia zaniepokojonej komendantki obozu, forsownym marszem wróciliśmy na obiad. Nazajutrz zwiedziliśmy Krzeszowice, a potem wymaszerowaliśmy do zamku w Tenczynku, gdzie był kręcony pierwszy odcinek „Janosika" i ostatni odcinek „Czarnych Chmur".

Cały obóz pojechał pewnego dnia do Chorzowa. Nawet zastęp „Pytonów", mający na „pieńku" z wychowawcą też pojechał. Po szaleństwach w wesołym miasteczku i zwiedzeniu Planetarium powróciliśmy do obozu.

W ostatni dzień zastęp „Robaczków Świętojańskich" wystąpił w przebraniu Samurajów a kolega z „Pytonów" – jako Zeus. Po bujnie przeżytej zielonej nocy wróciliśmy do Krakowa.

Chciałbym swoim listem podziękować WSM w Krakowie, wspaniałym wychowawcom o dużej wiedzy naukowej, kadrze kuchennej i wszystkim, którzy przyczynili się do naszego wypoczynku. Szczególnie dziękuję p.p. Maćkowi Kopeć i Jankowi Bajgier za ciekawe przekazanie wiedzy przyrodniczej oraz p. Krzyśkowi za pomoc w prowadzeniu obozu.

Bożydar Śmierciak

W MAŁYM OKIENKU

Chciałbym podzielić się z kolegami i koleżankami kilkoma uwagami na temat telewizji. Niewiele ma ona na pozór wspólnego z wakacjami, ale to tylko na pozór, przecież właśnie telewizja „zabrała" nam 11 dni wakacji serwując wspaniałą porcję futbolu. Ale nie o futbolu miałem pisać, tylko o wakacjach, a dokładniej o Teleferiach.

Tegoroczne Teleferie są złodziejem czasu i nie ma w tym żadnej przesady! Program ten rozpoczyna się o godzinie 9 a kończy po 10, co uniemożliwia tym, którzy „muszą" to oglądać, zorganizowanie całodziennej wycieczki za miasto lub podobnej imprezy. A przecież nie chodzi o to, aby siedzieć z nosem w telewizorze. Ponadto telewizja nie proponuje nic ciekawego; m.in. filmy, które widzimy któryś raz z kolei (rekord to „Szaleństwo Majki Skowron"). Nikt oczywiście nie żąda żadnych nowych i drogich atrakcji, ale można by było zrealizować np. serię filmów o mniej znanych zabytkach, czy też prowadzić np. „Poradnik młodego turysty" itp. itd. Moim zdaniem należałoby przesunąć godzinę emisji z 9 na 8, ale to na razie tylko marzenia. A w ogóle to zapomnijmy o telewizorze, plecak na plecy i już nas nie ma! Nie zapominajmy, że nawet wokół dużych miast jest sporo zieleni i świeżego powietrza.

Paweł Rosicki

BEZ MUCH W NOSIE

Cały miesiąc spędzam „na kwaterze" u babci i dziadka. I co robię? Sprawdziłam się w Indeksie Sprawności Fizycznej, byłyśmy z siostrą pod pomnikiem „Walki z hitleryzmem" w parku. Znalazłam dla siebie wspaniałą kryjówkę – zejście krętą ścieżką, która była jeszcze przed wakacjami polem pokrzyw mojego wzrostu (152 cm). Uzbrojona w patyk poszłam z nimi walczyć. „Wojnę" wygrałam, mogę chodzić tędy z gołymi nawet nogami, bez obawy przed poparzeniem. Dalej znajduje się jakby „przedpokoik". Później trzeba schylić głowę i... już jestem na swoich „włościach"! Istna dżungla otacza to miejsce. Mam tam kamienie do siedzenia, zrobiłam sobie także strzałkę „do wyjścia". Mam też wyjście „awaryjne". Trochę trudniejsze, bo po stromej górze, ale to zawsze coś. Przyjemnie jest tam usiąść ze „Światem Młodych".

Jeżdżę też na wycieczki rowerowe. Ten pojazd nie potrzebuje drogiej benzyny. Jeździ „na powietrze", którego wokół nie brakuje. Wycieczki mogą być bardzo pożyteczne i wesołe. Jeśli tylko nie zabraknie nam humoru no i... dróg.

A w deszcz? Są przyjaciele – książki. Prawie w każdej gazecie krzyżówki. A poza tym każdy, kto ma czystą kartkę, długopis czy ołówek nie powinien narzekać na nudę. Zawsze przecież można coś na białej płaszczyźnie wyczarować. Znajduje się także czas na swoje hobby: segregowanie, przeglądanie itd. Najważniejsze, żeby nikt nie wstawał w letni poranek „lewą nogą", lub nie miał w ciągu dnia tzw. „much w nosie"

Joanna Wierajtis

KOLEŻANKI MAJĄ WIĘCEJ OBOWIĄZKÓW

Wstaję o godzinie 5.00 rano. Robota ranna w stajni mnie nie obchodzi, bo tę wykonuje tato, ja natomiast w tym czasie ubieram się i biegnę do łozin (tak nazwałam dość duży obszar ni to lasu, ni krzaków). Jest to istny zwój ścieżek, po których biegam, uprawiając różne ćwiczenia (bardzo mi pomógł „Indeks Sprawności" zamieszczony na łamach „Świata Młodych").

Mniej więcej o 6.00 wracam do domu, myję się, jem śniadanie, które sama sobie przygotowuję i idę do piekarni (mieszkam na wsi, a piekarnia jest w mieście, choć co prawda niedaleko, ok. 1 km) po bułki, które są nadzwyczaj smaczne i bardzo świeże. Po przyjściu robię śniadanie dla domowników (kanpaki), bo resztę śniadania robi mama. Po wypełnieniu rannych obowiązków mam czas do 9.00 dla siebie, przeważnie piszę moją powieść, ale czasem idę na targ, a jest to we czwartek.

Przed 9.00 wstaje siostra i razem oglądamy „Teleferie", ale nie zawsze, bo czasem idziemy np. do siana itp. Po „Teleferiach" wraz z siostrą sprzątamy dom, a następnie zabieramy się do obiadu. Często przed obiadem chodzę do miasta po zakupy. Po obiedzie sprzątam kuchnię i myję naczynia (wszystkie z obiadem związane obowiązki należą do gotującej. Gotujemy na zmianę).

Około 15.00 mam już czas wolny do ok. 17.00. Potem idę paść barany (mamy ich 5 sztuk), wtedy też piszę powieść lub czytam cudzą (polecam Oliver Curwood – „Szara Wilczyca"). Około 20.00 prowadzę owce do domu i po umyciu się jem kolację, którą przyrządza mama. Tak oto wygląda mój dzień, który wbrew pozorom jest i tak dniem relaksowym. Znam koleżanki, które pracują o wiele więcej, mimo wakacji.

Małgorzata Twardzik

Spotkania

POWODZENIA!

A więc stało się! Minęły kolejne tygodnie, nie został już nawet jeden dzień. Wakacyjne lato za nami, a jutro czas do szkoły. Dzień ten witany jest zawsze z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony żal obozowych ognisk, kolonijnych przyjaciół, jabłek z sadu dziadka, konnej przejażdżki na oklep, ryb w rzece i grzybów w lesie, słowem swobody, którą można się było zachłystywać przez większość wakacyjnych godzin; z drugiej strony coś nas jednak ciągnie, jeśli nie do lekcji i klasówek, to do koleżanki czy kolegi z ławki, do klasowej paczki, może czasem i do spotkań z tymi, którzy w czasie krótkich czterdziestopięciominutowych podróży próbują wyznaczać kierunek naszego własnego życiowego rejsu. Zanim po latach zdobędziemy się na wdzięczne o nich wspomnienia, jesteśmy ciekawi, czy spełnią nasze tegoroczne oczekiwania, czy potrafią nas znowu czymś zaskoczyć, czy będziemy szli przez ten nowy rok szkolny razem czy tylko obok siebie.

Czy spełnią się nasze tegoroczne oczekiwania... Czy zauważyliście, że chyba rzadko formułujemy je pod adresem szkoły? No tak, oczywiście, żeby ciało pedagogiczne za bardzo nie gnębiło, żeby ten polonista się wreszcie ode mnie odczepił, żeby nie za dużo trzeba wysiłku i żeby jednak zdać do następnej klasy. Ale to nie o to przecież chodzi.

Jakim ja chcę się okazać w nowym roku szkolnym – w zetknięciu z kolegami, z nauczycielami. Znam się przecież na wylot, lepiej niż ci pierwsi i dużo lepiej niż ci drudzy. Na co mnie naprawdę stać? Z czym w sobie i wokół siebie muszę trochę powalczyć, co zmienić? Może za rok wybieram się do szkoły średniej. Czeka mnie egzamin. W którym z przedmiotów czuję się najpewniej, na który muszę zwrócić szczególną uwagę?

A jak to było przed wakacjami w naszej klasie? Czy stanowiliśmy zgraną paczkę kolegów, czy podzieleni różnymi układami bardziej zwalczaliśmy się wzajemnie, zazdrościliśmy sobie, niż współdziałaliśmy? Jaka była w tym moja rola? Czy nie mógłbym spróbować wykorzystać swego wpływu choćby na część klasy? Albo przestać się gniewać i drzeć koty, z tymi, którym przewodzi mój główny klasowy konkurent?

Przed zakończeniem roku szkolnego rozmawiałem z kilkoma klasami ósmymi, które już opuszczały swoją starą budę i próbowały razem ze mną zastanowić się, czym dobrym zapisała się przez minione lata w ich pamięci. Okazało się, że sprawa nie jest taka prosta i że z tego krótkiego dystansu czasu ma się szkole więcej do zarzucenia, niż chciałoby się w niej pochwalić. Ale zgodnie uznaliśmy, że wiele zależy od samej aktywności uczniów. Choćby takie wycieczki, na których brak narzekano powszechnie. Oczywiście konieczna jest tu pomoc nauczycieli i rodziców, ale czy starsze klasy nie mogą przejawić tu więcej inicjatywy w zaplanowaniu i zorganizowaniu wspólnego wyjazdu. Wychowawca, który stanie przed taką gotową już niemal eskapadą, też ustosunkuje się do niej inaczej.

Ale szkoła szkole i klasa klasie nierówna. Do jednych wraca się chętniej, do innych mniej, jeszcze inne są wielką niewiadomą. Przecież ci, którym udało się dostać do szkół średnich i zawodowych, zjawią się jutro w zupełnie nowym otoczeniu, gdzie przeszkody do pokonania będą związane nie tylko z nowymi kolegami i nauczycielami. Sam pamiętam swoje pierwsze kroki w szkole o dość skomplikowanej architekturze, gdzie długo po pierwszym września nie znałem jeszcze najkrótszej drogi do wielu ważnych w niej miejsc, a systemu numeracji sal nie opanowałem do dzisiaj.

Czy spełnią się nasze tegoroczne oczekiwania... Powtarzam to zawieszone w próżni pytanie, bo zdaję sobie sprawę, że tym, co napisałem, nie dotknąłem szkolnych oczekiwań Was wszystkich. Być najlepszym, poprawić ortografię, wygrać olimpiadę lub konkurs, zostać przewodniczącym samorządu klasowego, mieć fajny zastęp, trafić do dobrego wychowawcy, dać sobie radę z równaniami, znaleźć przyjaciela, zdobyć tę książkę, której nie udało mi się przeczytać w zeszłym roku, zmontować w końcu ten układ, poprawić swoją grę na gitarze, zostać sobą. Różnie można konkretyzować to, na co czekać będziemy przez najbliższe dziesięć miesięcy. Do następnych wakacji. Tak jakby dopiero one liczyły się naprawdę...

Zresztą większość tych oczekiwań dotyczy nie tyle samej szkoły, ale raczej nas w odniesieniu do niej. Ale jaki będzie każdy z nas, jaka będzie nasza uczniowska suma, taka będzie i nasza szkoła, która ma nam we wszystkim pomagać i w której coraz mniej powinno od nas zależeć. W tej materii zresztą coś się już zmienia...

A więc spełnienia oczekiwań! I powodzenia!

Jarek

REDAKCYJNA POCZTA

„Niska" do „Małej"

Chciałabym zabrać głos w sprawie listu „Małej", pod tytułem „Chciałabym zrobić coś dla świata, ale jestem za niska". Posłuchaj „Mała"! Nie możesz się załamywać z powodu swego niskiego wzrostu! Sama mam zaledwie 1,56 wzrostu. Nie noszę szpilek, by być wyższa, ani nie odcinam się od świata. Unikanie ludzi, zamykanie się w domu, czy płacz, nic Ci nie dadzą. Z początku słyszałam docinki pod moim adresem, ale nie zwracałam na nie uwagi. Człowiek o niskim wzroście też jest potrzebny na tym świecie! Radzę Ci nie zwracać uwagi na docinki i nie myśleć o swym niskim wzroście. Spróbuj zająć się czymś, co nie miałoby nic wspólnego ze wzrostem. Możesz przecież chodzić do klubów, na dyskoteki, spacery itd. Mówi się: „Co wysoki rozpocznie, to mały zakończy"! Jeżeli chcesz ze mną korespondować, to zgłoś się po mój adres do „Redakcyjnej Poczty". Chętnie z Tobą podyskutuję. Życzę Ci powodzenia u wysokich.

Cześć, „Niska"

„Bąblu", bez tragedii!

Kochany „Bąblu"! Twój list zamieszczony w 62 numerze „Świata Młodych" bardzo mnie poruszył. Piszesz, iż Twoja przyjaciółka, Renata, bardzo się zmieniła. Jeżeli chcesz jej pomóc „wyjść" z chandry, to Ci dam pewną radę. Otóż ja myślę, że powinnaś dać Renacie trochę spokoju. Rozumiem, tak długo się znacie, i jak możesz dać jej spokój? Powiesz, że wypisuję bzdury. Ja jednak myślę, że Renata (być może się mylę) pragnie trochę samotności. Może w Waszej przyjaźni za dużo było spacerów i wycieczek? Sprawę tę lepiej zrozumiesz, gdy i Ciebie złapie jakaś „potworna chandra".

„Marika"

Jak się zbliżyć do reszty klasy?

Uczę się bardzo dobrze, ale nie jestem lizusem, ani samolubem. Jednak każdy w klasie omija mnie. Nie pasuję do żadnego towarzystwa. Sama nie wiem dlaczego. Gdy dziewczyny umawiają się gdzieś, to zawsze beze mnie. Podczas zabaw jestem pomijana. Siedzę i przyglądam się. Ja naprawdę nie mogę już dłużej tego wytrzymać. Nie mam nawet jednej koleżanki, która mogłaby mnie zrozumieć. Często wieczorem płaczę, ale kto to wie i cóż to pomoże. Jak sobie pomyślę, że jeszcze dwa lata (siódma i ósma klasa) mam się męczyć w takim gronie koleżanek i kolegów, to najchętniej chciałabym zapaść się pod ziemię. Co ja mam zrobić ze sobą?

Beata

Jestem taka ładna!

Nigdy nie zasięgałam Waszej rady, gdyż jej nie potrzebowałam. Teraz jednak muszę i to koniecznie. Mam piętnaście lat. Wszyscy mówią, iż jestem bardzo ładna. Nie zaprzeczam, ale właśnie z tym mam kłopot. Nie twierdzę, że chciałabym być brzydsza. Staję się coraz bardziej lękliwa, ponieważ ciągle jestem narażona na zaczepki. Nawet ze strony dorosłych mężczyzn. Doszło do tego, iż przestałam jeździć autobusami, a jeszcze trochę i przestanę wychodzić z domu.

„Bezradna"

OD REDAKCJI: – Co mamy Ci doradzić piękna, bezradna dziewczyno? Chyba aż tak tragicznie sprawa nie wygląda, skoro sama piszesz, że wcale nie chciałabyś być brzydsza. Autobusami jeżdżą różne dziewczyny i te ładniejsze, i te brzydsze, i nie tylko piękne są zaczepiane. Nie robią jednak z tego takiego problemu jak Ty i nie chodzą piechotą po parę przystanków. Może za wiele myślisz o swojej urodzie i podświadomie ściągasz uwagę na siebie? Jeśli komus zaczepki są nie na rękę, przemilcza je. Nie znamy przypadku, aby ktoś milczącą piękność „zjadł" w autobusie za jej urodę. Nie bój się niczego. Spokojnie chodź po ulicach, korzystaj z dostępnych Ci środków lokomocji i nie zwracaj uwagi na to, kto na Ciebie patrzy. (mm)

WTP'82

WITAJ, SZKOŁO! SPOTKAMY SIĘ JUŻ JUTRO! NASTĘPNE WAKACJE – ZA TRZYSTA TRZY DNI!

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Postaramy się pomóc Wam w tym naszymi artykułami w „Świecie Młodych", ale tymczasem radzimy – raz jeszcze **odtwórzcie najciekawsze momenty z letniej WTP-82**; te, które najbardziej się Wam podobały, najgłębiej zapadły w serce. Jest na to i czas, i pora. Pogoda sprzyja, a cała Polska – Wasza! W sadach i na polach dojrzewają owoce i warzywa, liście w lesie zmieniają kolory, pajączki tkają nici „babiego lata". Nie siedzieć więc – ruszać się, bawić, krzątać, pomagać, umacniać zdobytą latem krzepę!

Winni jesteśmy jeszcze **rozwiązanie konkursu** na maskotkę WTP-82, ogłoszonego w nrze 55 z dn. 3.7.82. Bezapelacyjnie zwyciężył krasnal z białym pomponem na czapce i białą brodą. Na 842 głosy, aż 350 oddano na niego; z tego 9 głosów zaproponowało imię Kuba. Wylosowaliśmy wśród nich zwycięzczynię: **Elżbietę Ostrowską** z Nidzicy. ***Taki krasnal*** – napisała Elka – ***zawsze coś doradzi, podpowie i pomoże, zajmuje mało miejsca, a jaki jest sympatyczny!*** Pewnie! Nagrodę: komplet biwakowych naczyń – wyślemy Ci, Elu, pocztą.

Ale oto fragment listu Iwony i Beaty z Gorlic: ***Uczestniczymy z przyjemnością w WTP-82, ale żadna z proponowanych laleczek nie przypadła nam do gustu. Dlatego przysyłamy Redakcji naszą własną maskotkę – chłopca-wędrowca: nazywa się Ledwoczłap.*** Obok zamieszczamy zdjęcie Ledwoczłapa; fajny, prawda? Redaktor naczelny „Świata Młodych" postanowił ufundować specjalną nagrodę: komplety znaczków „Świata Młodych" dla obu twórczyń Ledwoczłapa! Gratulujemy!

Dziękujemy za piękne i obfite meldunki o zabytkach wiejskiej techniki, o wizytach w muzeach i o przygodach na trasach wędrówek, rajdów i wypraw, o pomocy sąsiedzkiej w żniwach i opiece nad młodszym rodzeństwem, o tysiącu codziennych wakacyjnych spraw. Namawiamy gorąco: **piszcie do nas i teraz!**

Życzymy Wam co najmniej tysiąca przygód na rozpoczynającej się już jutro „Wyprawie w Krainę Nauki". Będzie ona trwała zaledwie dziesięć miesięcy i za trzysta trzy dni – znów wakacje!

Wasz „Świat Młodych"

– To jest właśnie LEDWOCZŁAP z Bieszczad
Fot. **J. Łopuszyński**

O czarnej, ale dobrej robocie

ZABYTEK OŻYWA

Kiedy harcerze – uczestnicy obozu szczepu im. Staszica przy szkole zawodowej kopalni „Bobrek" po skończonej uroczystości pożegnalnej opuścili zabytkowy budynek walcowni w Sielpi, a zwiedzający ten zabytek (będący też salą muzealną) goście przestali się pojawiać – pan Tadeusz Lipowski, opiekun placówki wyszedł na dziedziniec i postanowił zejść do piwniczki, prowadzącej do tej części wodnego kanału, która biegnie pod ziemią. Ten kawał odprowadza wodę do zabytkowego koła walcowni. Zszedłszy, p. Lipowski zauważył, że ostatni schodek, który jeszcze onegdaj był pod wodą, teraz się z niej wynurzył. Pan Tadeusz zawołał więc jednego z chłopaków, mającego jeszcze akurat na sobie długie buty gumowe i namówił go, by zszedł w koryto kanału. Teraz już wspólnie ustalili, że woda opadła o jakieś 30 centymetrów. A jeszcze 2–3 dni temu, gdy kończono pracę przy oczyszczaniu kanału – ani drgnęła.

Naprzód – przypomnijmy, jaki to zabytek i dlaczego wymaga ożywienia. Otóż w zabytkowych budynkach starej walcowni w Sielpi – stanowiących dziś muzeum tutejszego Zagłębia Staropolskiego – zachowało się sędziwe koło wodne, które niegdyś napędzało urządzenia walcowni. Byłoby bardzo korzystne, gdyby koło to nie tylko tkwiło tu stojąc (co przyspiesza jego niszczenie), ale by mogło pracować. Cała instalacja wodna, zasilająca koło, jest czynna. Tylko że w związku z zabagnieniem owego odpływowego kanału, poziom wody w tej instalacji tak się podniósł, że dolna część koła jest cały czas pod wodą. Utrudnia to jego rozruch, niemalże go uniemożliwia, a ponadto taka przymusowa kąpiel w stojącej wodzie nie wychodzi temu zabytkowi na zdrowie.

Gdy więc harcerze uczestniczący w akcji „Staszic" wybierali się na tegoroczny obóz do Sielpi by tu popracować, jedno z najważniejszych zadań brzmiało: zrobić coś z kanałem, oczyścić go choć tu i ówdzie – może wtedy woda opadnie. Tej roboty nie podejmowały się przedtem żadne wyspecjalizowane przedsiębiorstwa, jest to bowiem pod wieloma względami robota wyjątkowa, o czym pisałem trzy miesiące temu.

Ośmiu takich, co ruszyli rzekę

Byli na całym obozie najstarsi, najsilniejsi, a ponadto – zwykle już mający w Sielpi obozowy staż. Mający opinię pracowitych. Poza tym – żadni aniołowie: w szkole i w harcerstwie wymagający dosyć twardej ręki

Kiedy przyszli nad kanał, ujrzeli coś w rodzaju kolejowego wykopu, którego dno pokrywało grząskie bagno. Tu i ówdzie połyskiwała stojąca woda. Z tego wszystkiego wyrastały krzywe wierzby, gdzie indziej znów koryto przegradzały zwalone sosny. W sumie – widać było, że kanał z tego bajora trzeba dopiero zrobić.

Dostali długie buty rybackie, które i tak miały im się co rusz napełniać wodą, bo miejscami zapaść się można było po pas i głębiej, oraz łopaty do garści. Pierwszy dzień przyniósł im głównie bąble na rękach. Dwa następne – kryzys. Już nawet chcieli rezygnować, widząc beznadziejność walki z błotem. Więc na obozie wszczął się ruch – zaczęto szukać zmienników. Znaleźli się, ale gdy nowo utworzona ekipa przybyła do kanału, pochlapała się w nim trochę i po jednym dniu jej członkowie orzekli: to nie dla nas.

Tymczasem minął kryzys u naszej ósemki. Znów wzięli się do dzieła. Z tym, że odrzucili łopaty, a ze złomowanych rurek porobili sobie zakrzywione bosaki. Wynalazek okazał się trafiony. I teraz dopiero naprawdę ruszyli. Prując gęstą darń roślinności żłobili w niej drogę dla wody. Przy pomocy lin usuwali przepiłowane przedtem pnie, budowali kładki. I tak dzień po dniu.

Ich bezpośredni opiekun, pan Twardowski z Muzeum Techniki mówi, że z chwilą, gdy zaczęli robić postępy, tak się zapalili do tej czarnej roboty, że czasem nie można ich było przegonić znad bagna.

Zwiad terenowy? Skąd, oni do kanału! Poznawanie okolicy? Kanał! Wycieczka? Gdzie tam, kanał! Inna rzecz, że to nie była robota całodzienna. Choć trzeba było doliczyć czas marszu z pracy i do pracy, a im dalej byli z robotą – tym też...dalej od obozu. Gdy już mijali półmetek, w korycie wyżłobionego strumienia, zamiast rudawizny, pojawiła się woda wartka i czysta. Dotąd ten i ów na obozie wyrażał się o naszych bohaterach – „szambonurki", ale wkrótce zgodnie ich przechszczono na „hydraulików".

Gdy pod koniec obozu przyjechałem nad kanał, zobaczyłem wijącą się wśród roślin wodnych, wartką rzeczkę długości prawie dwóch kilometrów... Pozostało jeszcze z sześć do oszyszczenia. No, ale woda z instalacji na hali zaczęła odpływać... A jeszcze parę miesięcy temu mówiono, że tego się bez ciężkiego sprzętu, a może i wojska z materiałami wybuchowymi nie ruszy...

Gdy zajrzałem na halę, pan Lipowski odsunął drewniane wrota, spiętrzające wodę, i puścił ją na koło. Zaczęło się obracać. Idzie szybciej i lżej – usłyszałem – niż jeszcze dwa tygodnie temu. A więc – zabytek ożywa. Niebawem przyjadą tu na obóz studenci z Częstochowy, by zająć się jego renowacją. Harcerze z akcji „Staszic" przyszli więc ze swoją pomocą w sam czas...

Nie usłyszałem tu o nich niczego takiego, co mogłoby zmienić pochwalny ton tej relacji. Oni sami nie zgłaszali żadnych pretensji, nie mieli też żalu że trzeba się było pomęczyć w wakacje. *No wie pan, jak się tu tyle lat przyjeżdżało, to chyba coś trzeba po sobie zostawić!* – mówi „ojciec", ich „brygadzista". – *My się tam zresztą roboty nie boimy!*

To zrresztą przyszli górnicy; niektórzy powąchali już kopalni. Niektórzy zaraz po obozie zjadą na dół, do swej pierwszej pracy.

Ten laurkowy ton zakłócił tylko komendant obozu, dh Marek Ferfecki. Kłopoty ze zorganizowaniem obozu – powiedział mi – można by na bawolej skórze spisać.

Sprawozdawczość, transport, samochody zjawiające się nie na czas i nie w zapowiedzianej ilości, marudzący kierowcy... No i tu, na miejscu – gospodarz terenu, WOSiR*) policzał im słono za miejsce, i właściwie za co? Podobno za elektryczność, która podrożała. A oni tu mieli wszystkiego ze dwie – trzy latarnie, i jeszcze instalację sami sobie musieli podłączyć. Śmieci nie wywożono tygodniami. Gdy się dopominali o jakąś zniżkę, usłyszeli: dla muzeum robicie, to niech ono za was zapłaci.

No, a przecież muzeum na równi z istniejącym tu zalewem ściąga w to miejsce turystów, na czym korzysta WOSiR. Zaś harcerze, pracując przy odnowie zabytku, pracowali tym samym na rzecz całego terenu. A skoro robili to społecznie – czy godzi się z nich zdzierać skórę? To kwestia, którą muzeum i harcerze zamierzają ostatecznie wyjaśnić z gospodarzem terenu. Od tego w jakiejś mierze zależy bowiem dalszy ciąg akcji „Staszic" w przyszłym roku.

No, a skoro w tym roku udało im się poruszyć rzekę, to – podpowiadają tu przy mnie niektórzy druhowi Ferfeckiemu – może by tak już po przyjeździe, w ich szkole, uczcić to jakąś uroczystością?

Na to druh komendant, lekko wsparłszy się na sośnie:
– Po co? Jeszcze jedna akademia...

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. **autora**

*) Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji

◀ *Zwykły dzień pracy naszej ósemki. Robotę nadzoruje pan Twardowski, konserwator zabytków w Muzeum Techniki. Nie czyni tego z brzegu, ale wraz z chłopcami schodzi w bagno i bierze udział w pracy. Dla naszych bohaterów stał się wkrótce wychowawcą i druhem. Dodajmy, że inni uczestnicy obozu też nie próżnowali. Ogradzali teren muzeum i wykonywali liczne prace porządkowe.*

Fajrant. Trzeba, przy pomocy takiej oto gimnastyki, opróżniać wypełnione wodą rybackie gumiaki ▶

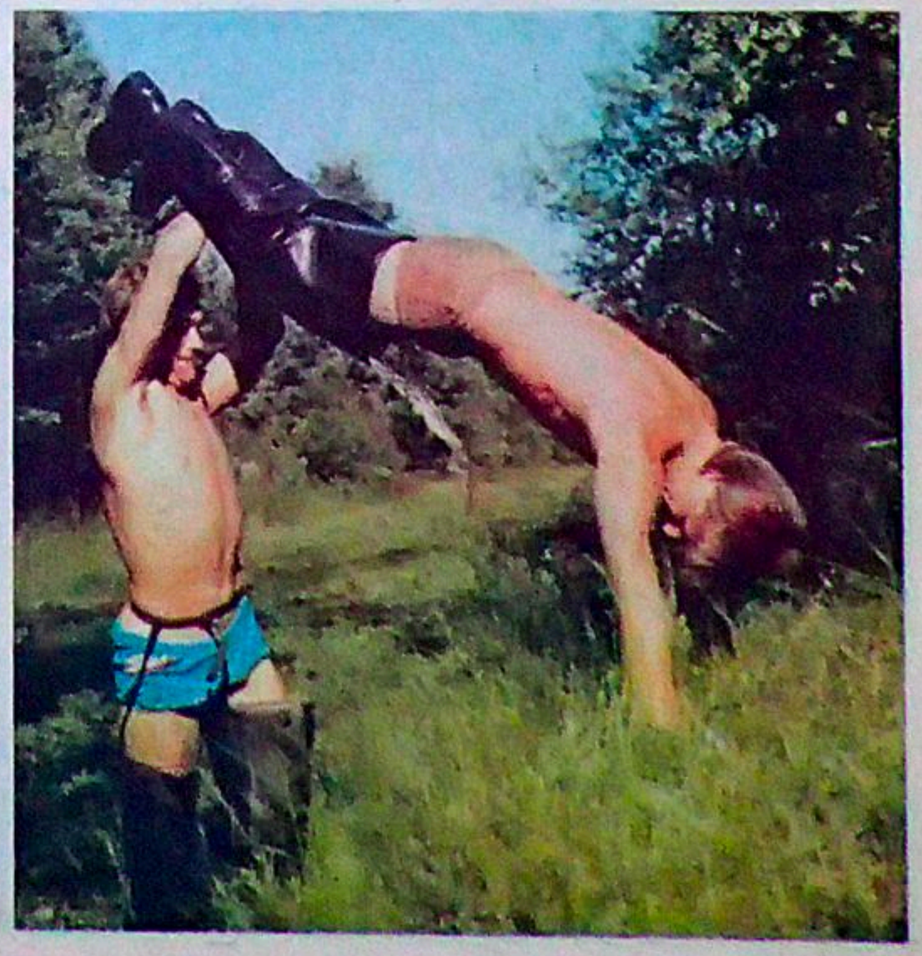

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Mimo nalotów i bombardowań Warszawa nie poddaje się przygnębieniu. W dniu 3 września na ulicach miasta wybucha entuzjazm na wiadomość o przystąpieniu Anglii i Francji do wojny. Złudne nadzieje na pomoc zachodnich sojuszników przysłaniają rzeczywisty obraz nadciągającej klęski.

Dzień 4 września przynosi mieszkańcom stolicy niepokojące wieści: na warszawskich dworcach pojawiają się wielkie transporty rannych żołnierzy. Warszawski garnizon, pod dowództwem gen. Waleriana Czumy, szykuje się do obrony miasta. Rozpoczyna się ewakuacja niektórych urzędów. W mieście zaczyna powstawać chaos, spowodowany m.in. wezwaniem (później zresztą odwołanym), aby wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni opuścili miasto. W nocy 6 września rząd opuścił Warszawę, ewakuując się do Lublina.

Tysiące warszawiaków zadaje sobie pytanie: „Czyżby miasto miało zostać oddane wrogom bez walki?"

Dzień 7 września przynosi odpowiedź. Przez radio warszawskie pada wezwanie do budowania barykad. Około 100 tysięcy mieszkańców staje ochotniczo do tej pracy. W ciągu kilkunastu godzin Warszawa zostaje opasana pierścieniem barykad i rowów strzeleckich. Z inicjatywy działaczy socjalistycznych zaczynają powstawać pierwsze ochotnicze oddziały, które stanowią zalążek Robotniczych Batalionów Obrony Warszawy.

Genrał Czuma ogłasza rozkaz do obrońców miasta, kończąc go wezwaniem: *Żołnierze! Objęliśmy pozycję, z której nie ma zejścia. Na tej pozycji może wróg usłyszeć tylko jedną odpowiedź: dość, ani kroku dalej!...*

Prezydent Warszawy Stefan Starzyński zwraca się w dniu 8 września z apelem do ludności, w którym spokojnie i dobitnie stwierdza: *Warszawa będzie broniona. Jako Komisarz Cywilny Obrony Warszawy rozkazuję wszystkim pozostać na swych stanowiskach.*

Wieczorem 8 września na Warszawę zaczynają spadać pierwsze pociski artylerii niemieckiej. Na południowo-zachodnich przedmieściach miasta, na Ochocie i na Woli pojawiają się niemieckie czołgi.

Na wolskiej reducie

Jedną z najbardziej wysuniętych pozycji obronnych była słynna wolska reduta, której w 1831 r. bronił bohaterski generał Sowiński. W roku 1939 reduty bronić miała kompania przeciwpancerna pod dowództwem por. Zdzisława Pacak-Kuźmirskiego, wchodząca w skład 40 punku piechoty. Obrońcy nie dali się zaskoczyć czołgom niemieckiej dywizji pancernej próbującej nagłym szturmem wedrzeć się do miasta. Wspomina o tym jeden z dowódców Sztabu Obrony Warszawy, płk. Marian Porwit:

Kauczuk syntetyczny i sosnowy bór

Może się to wydać komuś dziwne, ale jest prawdziwe: kauczuk syntetyczny jest wytworem fabrycznym, ale do swego powstania wymaga substancji, które daje tylko... sosnowy bór. A więc nie tylko plantacje *Hevea brasiliensis*, źródło kauczuku naturalnego, lecz także nasze rodzime lasy mają udział w produkcji opon samochodowych, artykułów technicznych i wielu innych wyrobów przemysłu gumowego. O jakie substancje chodzi? Przeczytajcie – to się dowiecie...

Kauczuki syntetyczne

Wśród licznych rodzajów kauczuków syntetycznych najważniejsze, najbardziej rozpowszechnione i używane są tzw. kauczuki butadienowo-styrenowe i butadienowe. W Polsce produkuje się je w Oświęcimiu pod nazwą „Ker", na pamiątkę pierwszego polskiego kauczuku syntetycznego, jaki powstał w Dębicy w 1938 r – wtedy butadien nazywano erytrenem, stąd taki skrót. (Nawiasem mówiąc, jeden z twórców tego kauczuku, inż. Szukiewicz, był w czasie II wojny światowej współtwórcą przemysłu kauczuku syntetycznego w Stanach Zjednoczonych!).

Substancjami wyjściowymi do produkcji kauczuku butadienowo-styrenowego są butadien i styren. Butadien otrzymuje się przez kraking (rozkład termiczny) frakcji ropy naftowej, a dawniej z alkoholu etylowego, uzyskiwanego albo z ziemniaków przez fermentację alkoholową, albo syntetycznie z acetylenu lub etylenu. Butadien jest gazem, natomiast drugi składnik, styren, jest cieczą. Obie te substancje wprowadza się do wody z dodatkiem różnych substancji pomocniczych i przy odpowiedniej temperaturze i ciśnieniu butadien łączy się ze styrenem w długie łańcuchy kauczuku. Warunkiem reakcji jest prawidłowe rozproszenie obu reagujących ze sobą substancji, utworzenie drobnej emulsji. Utworzenie emulsji umożliwia emulgator – okazało się, że najlepszym środkiem do tego celu jest mydło kalafoniowe.

Dodatek soli (tak, zwykłej soli kuchennej!) powoduje koagulację, łączenie się malutkich kropelek w większe bryłki i kawałki, które najpierw się wyżyma od nadmiaru cieczy, potem ogrzewa i suszy, wreszcie pakuje w postaci grudek albo sprasowanych, kilkukilogramowych cegieł.

„Darz bór!"

To zawołanie myśliwych można odnieść do lasu w ogóle. Las daje drewno na meble i opał, grzyby, jagody, orzechy, schronienie dzikiej zwierzynie i świeże powietrze turystom – wyliczać można długo. Zwróćmy uwagę tylko na jeden z darów leśnych, na żywicę z drzew iglastych. Zaraz się okaże, dlaczego...

Żywica jest wydzieliną specjalnych komórek, występujących w drewnie, korze i liściach sosny, świerka czy modrzewia w przewodach żywicznych, przebiegających wzdłuż pnia i promieni drzewnych. Uzyskuje się ją przez żywicowanie drzew – widzicie to na zdjęciu – lub przez ekstrakcję karpiny rozpuszczalnikami. Surową żywicę destyluje się z parą wodną, uzyskując olejek sosnowy, terpentynę i inne frakcje olejowe. Służą one głównie jako rozpuszczalniki do wyrobów lakierowych oraz jako surowiec wyjściowy do syntezy leków i środków zapachowych. Pozostałość po destylacji stanowi ciało stałe, kruche, przezroczyste, o barwie od jasnożółtej do ciemnobrązowej, jednym słowem – kalafonia.

Kalafonię znają dobrze skrzypkowie, gdyż nacierają nią smyczki przed grą, ale nie to jest najważniejsze zatosowanie tej kruchej substancji. Większość kalafonii zużywa przemysł farb i lakierów, wcale niemało przemysł papierniczy, no i w postaci mydła kalafoniowego wytwórnie kauczuku syntetycznego.

Z boru do fabryki

W Polsce uzyskiwano dotychczas ponad 20 tys. t rocznie żywicy sosnowej. Zbieranie jej jest ważnym działem ubocznego użytkowania lasu. Żywicowania dokonuje się przez odpowiednie nacinanie drzew iglastych; żywica spływa do kubków, z których odbiera się ją raz lub dwa dziennie. Nacięcia wyglądają tak, jak przy zbiorze lateksu naturalnego. Żywicowanie prowadzone odpowiednio nie obniża stanu zdrowotnego lasu ani wartości użytkowej drewna. Zwykle zbiera się bowiem żywicę z drzew przeznaczonych do wyrębu na 5–6 lat przed ścięciem.

Jednak ostatnio źle się dzieje u nas z żywicą i kalafonią. Żywicy zbiera się coraz mniej, terpentyny brak, kalafonii nie ma i musimy ją importować, żeby nie stanęły wytwórnie kauczuku i papieru. Co się stało?

Lasy zaatakowała brudnica mniszka, huragany powaliły miliony drzew – wiatrołomy na północy kraju ocenia się na 5–6 mln m³, przeszło 1/3 rocznego planu wyrębu! No i brak ludzi do żywicowania; w leśnictwie w ogóle trudno o pracowników, bo praca wbrew pozorom ciężka, i nisko płatna, a już do żywicowania nikt się nie kwapi. Może przyczyny zmniejszenia zbioru żywicy należy szukać również w cofnięciu leśniczym premii za ten surowiec?

W każdym razie tak dłużej być nie może, musi się znaleźć krajowa żywica i kalafonia! W przeciwnym wypadku trzeba będzie nadal wydawać szczególnie teraz cenne dewizy, a może nawet zamknąć niektóre wytwórnie kauczuku i papieru...

KRZYSZTOF GUTORSKI
Fot. autora

ALARM DLA MIASTA WARSZAWY

Odkrywszy w pobliskiej fabryce Dobrolin duże zapasy terpentyny por. Pacak-Kuźmirski polecił roztac około 100 beczek tego łatwopalnego materiału na bezpośrednim przedpolu, z zamiarem zapalenia go w czasie natarcia czołgów.

Por. Pacak-Kuźmirski dążył do dopuszczenia Niemców pod samą barykadę i zniszczenia na bezpośrednim, najbliższym przedpolu. Wysunięte w przód patrole miały uprzedzić dowódcę kompanii o zbliżaniu się nieprzyjaciela.

Między godziną 9,30 a 10.00 dnia 9 września wypadki rozwinęły się w sposób, jaki przewidział dowódca kompanii. Niemiecka kolumna czołgów i pojazdów piechoty podjechała aż pod barykadę, wypełniając całą gardziel ulicy Wolskiej. Na z góry umówiony sygnał rozpętała się nawałnica ognia na niemiecką kolumnę. W ogniu wyskakiwali żołnierze niemieccy z samochodów, lecz w wąskiej ulicy nie mogli znaleźć ukrycia. Zapalone zostały pola terpentyny. Płonęły niemieckie czołgi i pojazdy. Zamieszanie u zaskoczonego przeciwnika było tak zupełnie, że nadjeżdżające z tyłu pojazdy wjeżdżały na chodniki, uniemożliwiając swym poprzednikom i sobie wycofanie.

Zwycięstwo było tutaj zupełne. Walka trwała około godziny.

Po pierwszych starciach na Woli i na Ochocie, w których pancerne dywizje atakujące Warszawę poniosły ciężkie straty, Niemcy przekonali się, że miasta nie da się zdobyć w łatwy sposób, że Warszawa będzie broniona.

Gdy pierścień niemieckich wojsk zaczynał coraz szczelniej zaciskać się wokół stolicy – jej obrońcy mobilizowali swe siły.

Co dzień płyną z głośników radiowych zagrzewających do walki i wytrwania płomienne przemówienia prezydenta Stefana Starzyńskiego. Powstaje Straż Obywatelska strzegąca porządku w mieście, Robotnicze Bataliony Obrony Warszawy szykują się do walki.

Harcerze w akcji

– *Obejmujcie służbę pogotowia harcerskiego* – rozkazywał naczelnik ZHP. – *Każdy staje na wyznaczonym stanowisku.*

Setki harcerzy i harcerek stają w szeregach obrońców stolicy, by rozkaz ten wypełnić. W mieście powstają punkty sanitarne zorganizowane przez dowództwa wojskowego i cywilnej administracji. Wielu tych łączników przemierzających ulice płonącej Warszawy ginie podczas pełnienia ofiarnej służby.

Chlubny udział warszawskich harcerek w obronie Warszawy uczczony został pamiątkowym głazem, odsłoniętym w 1968 roku przed Dworcem Wschodnim w Warszawie. Napis na nim głosi: *W tym miejscu w dniu 5 września 1939 roku, pełniąc służbę sanitariuszek zginęły od bomb hitlerowskich warszawskie harcerki i uczennice. Cześć ich pamięci. Niech bohaterska postawa najmłodszych obrońców stolicy będzie przykładem poświęcenia i umiłowania Ojczyzny.*

W obronie skarbów kultury

Oblężenie Warszawy trwa. Miasto płonie, w ogniu stoi Uniwersytet, Biblioteka Narodowa... Na dachu Muzeum Narodowego stojącego na wysokiej skarpie Alei 3 Maja nieustanne dyżury przeciwlotnicze. Spadło już tu kilka bomb zapalających. Wewnątrz gmachu trwa gorączkowa praca. 230 skrzyń wybitych wewnątrz blachą znosi się do głębokich podziemi. Pakuje się w nie najcenniejsze skarby kultury narodowej. Pracami tymi kieruje dyrektor muzeum Stanisław Lorentz. Czas nagli, przecież w każdej chwili mogą trafić tu hitlerowskie bomby.

Dnia 27 września otrzymaliśmy wiadomość, że pali się Zamek Królewski – pisze w swym wspomnieniu Stanisław Lorentz. – *Natychmiast wyruszyły ekipy ratownicze.*

... W czasie oblężenia Warszawy gmach zamkowy, jako bezcenny zabytek, nie był użytkowany ani jako punkt oporu, ani jako magazyn sprzętu czy amunicji. Nie powstrzymało to najeźdźców od zbombardowania Zamku, jako „celu wojskowego", i podzielił los innych „wojskowych" celów stolicy: kościołów, muzeów, szpitali.

... Dla ratowania zbiorów zamkowych otrzymaliśmy samochody ciężarowe od prezydenta Starzyńskiego. Pomagało nam na Zamku i przy przewozach do Muzeum kilkunastu harcerzy z Grodnicy. Przy jednym z przejazdów samochód, w którym jechali wraz ze zbiorami harcerze, nasi pracownicy i osoby pomagające, został trafiony przez pocisk na Nowym Świecie... było kilkunastu rannych...

W chwili kapitulacji Warszawy podziemia Muzeum były przepełnione ocalałymi zbiorami. Dzięki ofiarnej pracy dyrektora Stanisława Lorentza i podległych mu pracowników wiele z uratowanych wówczas, a następnie chronionych przez lata okupacji i ocalonych z powstańczej pożogi skarbów polskiej kultury zachowało się do dziś.

*

W oblężonej przez hitlerowców Warszawie przez 19 dni – od pierwszych, odpartych w dniach 8 i 9 września ataków czołgów, aż do dnia 27 września, kiedy podpisana została kapitulacja – toczyła się walka. Brali w niej udział żołnierze i cywile, naukowcy i robotnicy, spikerzy radiowi podtrzymujący na duchu ludność walczącego miasta i harcerze – najmłodsi obrońcy stolicy... Budowano barykady, by zagrodzić wrogowi wstęp do miasta. Walczono o dopływ wody i prądu, likwidowano skutki pożarów, organizowano punkty opieki nad dziećmi, dożywianie, rozdział żywności, ratowano zasypanych po nalotach bombowych.

W tych dniach Warszawa – miasto, które w późniejszych latach wojny stać się miało symbolem ofiarności i niezłomnego bohaterstwa – zdawała wielki egzamin.

W 43 rocznicę pamiętnego warszawskiego września 1939 roku warto przypomnieć słowa z ostatniej odezwy bohaterskiego prezydenta stolicy Stefana Starzyńskiego, wydanej do ludności Warszawy już po kapitulacji, bezpośrednio przed wkroczeniem do miasta hitlerowskich wojsk:

Bezmiar bohaterstwa i ofiary wykazała ludność stolicy. Historia oceni należycie to poświęcenie, które nakazało nam trwać na posterunku do ostatka... Niech żyje Polska i jej stolica – Warszawa.

JERZY KASPRZAK
Fot. archiwum

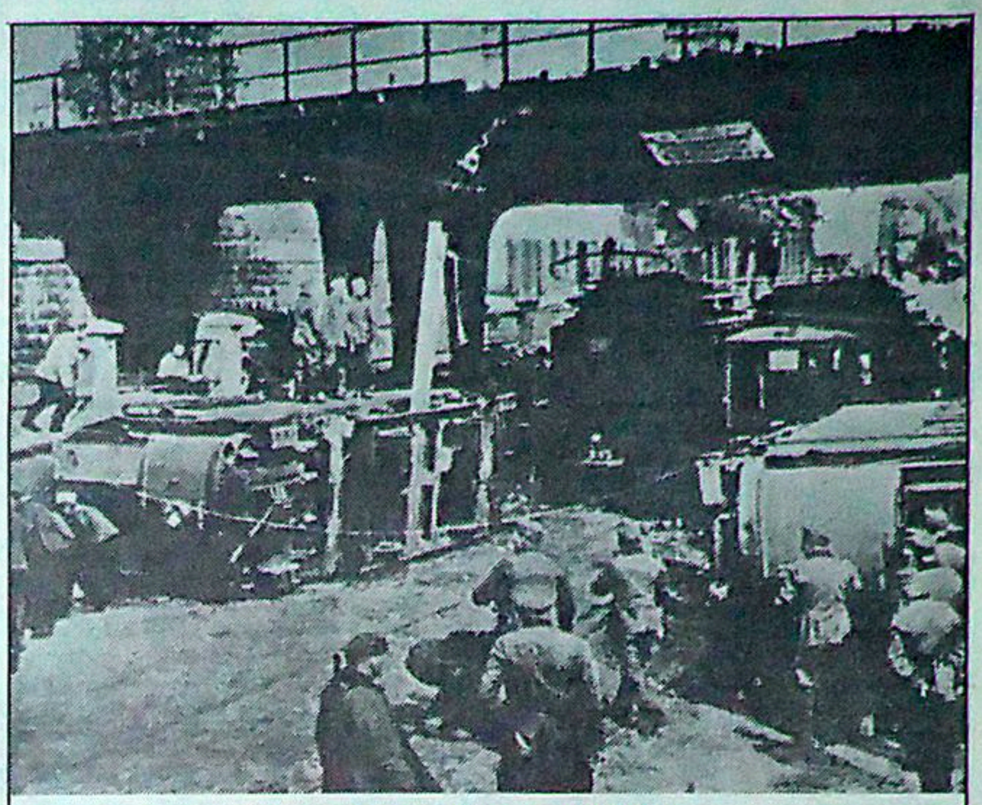

Wrzesień 1939. Polska barykada pod wiaduktem na Wolskiej

Po niemieckim bombardowaniu

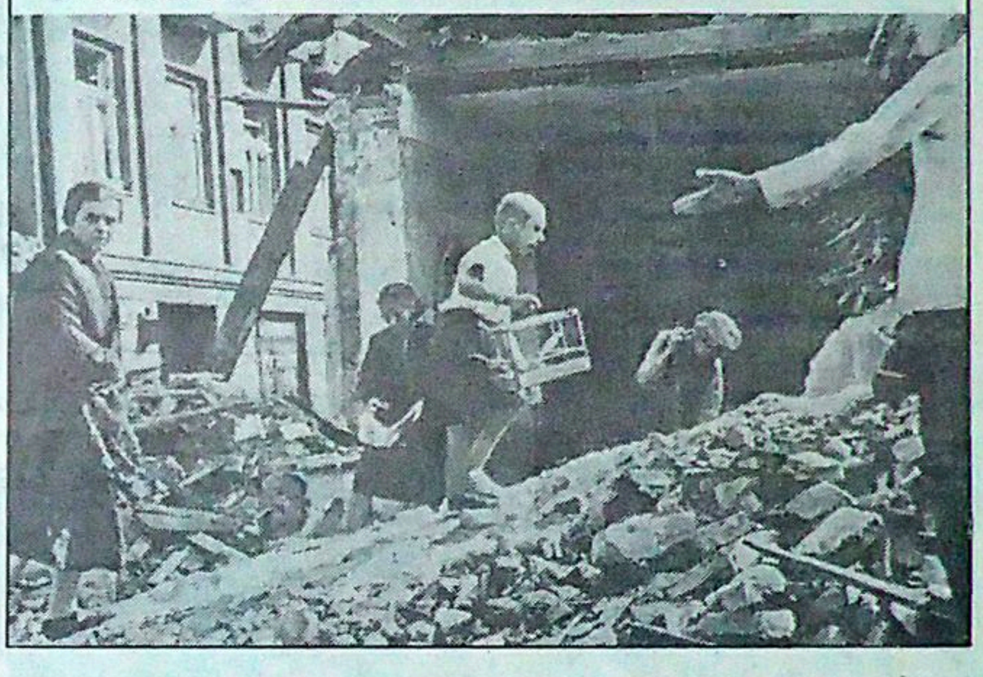

1 czerwca 1982 roku w Kielcach nastąpiło uroczyste otwarcie pierwszego w Polsce, a piątego w Europie, Muzeum Zabawki. Na otwarciu byli podobno ministrowie i wiele ważnych osób. Niestety, nie było nikogo ze „Świata Młodych". Przeoczenie nie do wybaczenia. Maryla pakuje więc do wielkiej torby aparat fotograficzny z fleszem, ja gruby notes oraz długopis i jedziemy do Kielc.

NA WŁASNYCH ŚMIECIACH

1. Zabawki i dzieci sfotografowane w Muzeum Narodowym dwa lata temu przez Marka Szymańskiego
2. 3. Szerokie wrota, małe zakratowane okienka... wnętrze mówiąc oględnie – surowe, podłoga betonowa
4. Dziś już zapomniania, ulubiona zabawa naszych dziadków – loteryjka

Muzeum Zabawki ma już swoją stałą siedzibę w pobliżu Muzeum Narodowego. Już prawie czułyśmy pod stopami gładkość muzealnej posadzki dębowej, gdy oczom naszym ukazał się przedziwny budynek, bardziej przypominający jakąś składnicę, niż Muzeum. Szerokie wrota, małe zakratowane okienka, wnętrze, mówiąc oględnie – surowe, podłoga betonowa. Przy gablotach, w których mają swoje spokojne i bezpieczne miejsce lalki, misie, lokomotywy i samochody, stoi gromadka dzieci.

Gospodarze Muzeum, pan **Zbigniew Głębicki** i **Zygmunt Bąk**, witają nas bardzo serdecznie.

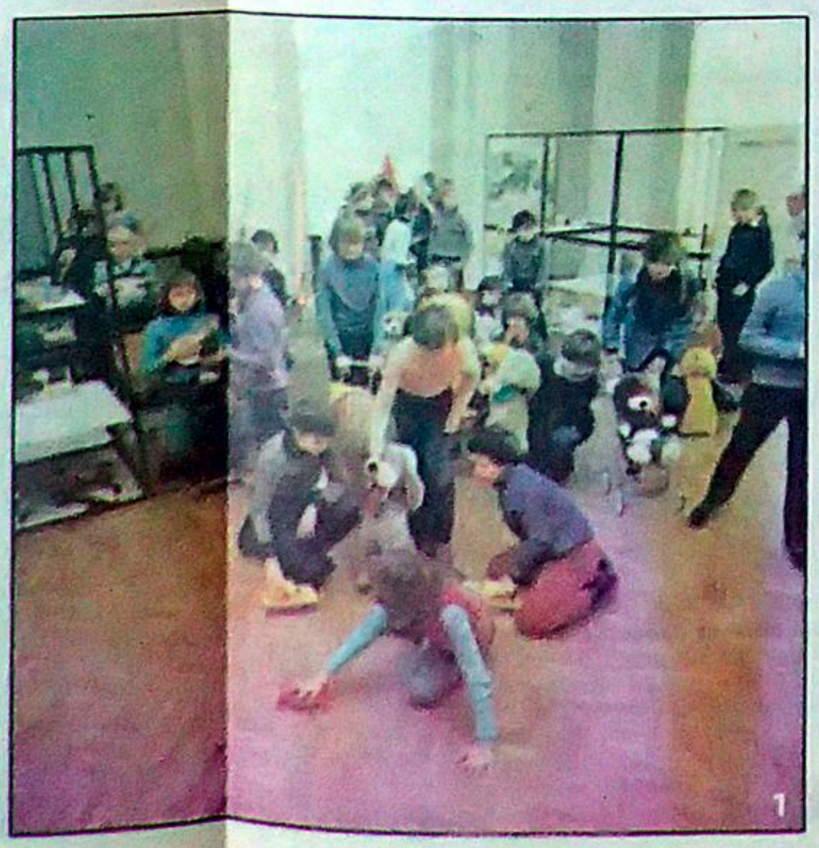

TROCHĘ HISTORII

Choć Muzeum otwarto w czerwcu, to jednak jego powstanie należy już do historii. Gdyby nie energia i wytrwałość twórców idei Muzeum Zabawki, mielibyśmy dzisiaj tylko historię, a Muzeum jeszcze by nie było...

Zaczęło się w 1979 r. To był Międzynarodowy Rok Dziecka. Ówczesny Prezes Krajowego Związku Spółdzielni Zabawkarskich, Pan **Tadeusz Zawistowski** uznał, że jest to najlepszy moment na zrealizowanie idei, która od dawna go nurtowała – stworzenia Muzeum Zabawki. Ogłoszono w telewizji i prasie apele o przysyłanie starych, niepotrzebnych zabawek do Krajowego Związku. Ludzie przysyłali, niektórzy w formie darów, inni sprzedawali. Gdy były już eksponaty, zorganizowano w kieleckim Muzeum Narodowym wystawę „Polska zabawka". Zabawki prezentowały się znakomicie w jasnych, spokojnych wnętrzach muzeum, co uwiecznił wtedy w fotoreportażu dla „Świata Młodych" Marek Szymański. Wystawa cieszyła się powodzeniem i zainteresowaniem dzieci, a także dorosłych.

Utwierdziło to pana Tadeusza w przekonaniu, że pomysł był niezły. Ze zdwojoną energią zabrał się więc do załatwiania stałego locum dla eksponatów. Nie była to sprawa prosta, gdyż w wielu wypadkach spotykał się ze zdaniem, że *„kraj ma teraz większe problemy niż tworzenie Muzeum Zabawki"*. No cóż, może jest w tym część prawdy, jednak tylko część. Bo choć czasy są rzeczywiście trudne, to przecież nie uprawnia to dorosłych do zabierania dzieciom ich radości. Dlatego pan Tadeusz, nie ustając w działaniach, zaraził swoim pomysłem parę osób i się udało.

ZABAWKI WYPIERAJĄ... NIKOTYNĘ

Nie, to nie jest sposób narzucenie papierosów, który chce lansować „Świat Młodych" To jest po prostu stan aktualny. Władze miasta Kielc przyznały Muzeum zabytkowy XVIII-wieczny spichlerz, w którym mieszczą się... magazyny tytoniowe. Wspaniała sprawa, spichlerz da się zaadaptować dla potrzeb Muzeum i po kłopocie. Ale zanim będzie można zacząć prace adaptacyjne muszą wyprowadzić się ze spichlerza papierosy. A papierosy nie mają dokąd, bo miały się przenieść do starego młyna, ale ten młyn ostatnio zaczął mleć mąkę i na magazyn go szkoda. Pan Zawistowski nie dał jednak za wygraną. Z wielkiego spichlerza wydzielił płytami pażdzierzowymi małą przestrzeń i w niej otworzył 1 czerwca Muzeum Zabawki. Postawił po prostu władze przed faktem dokonanym, stąd obecność tylu ważnych osób na otwarciu

Fot. **Maryla Zieleniewska**
Marek Szymański

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

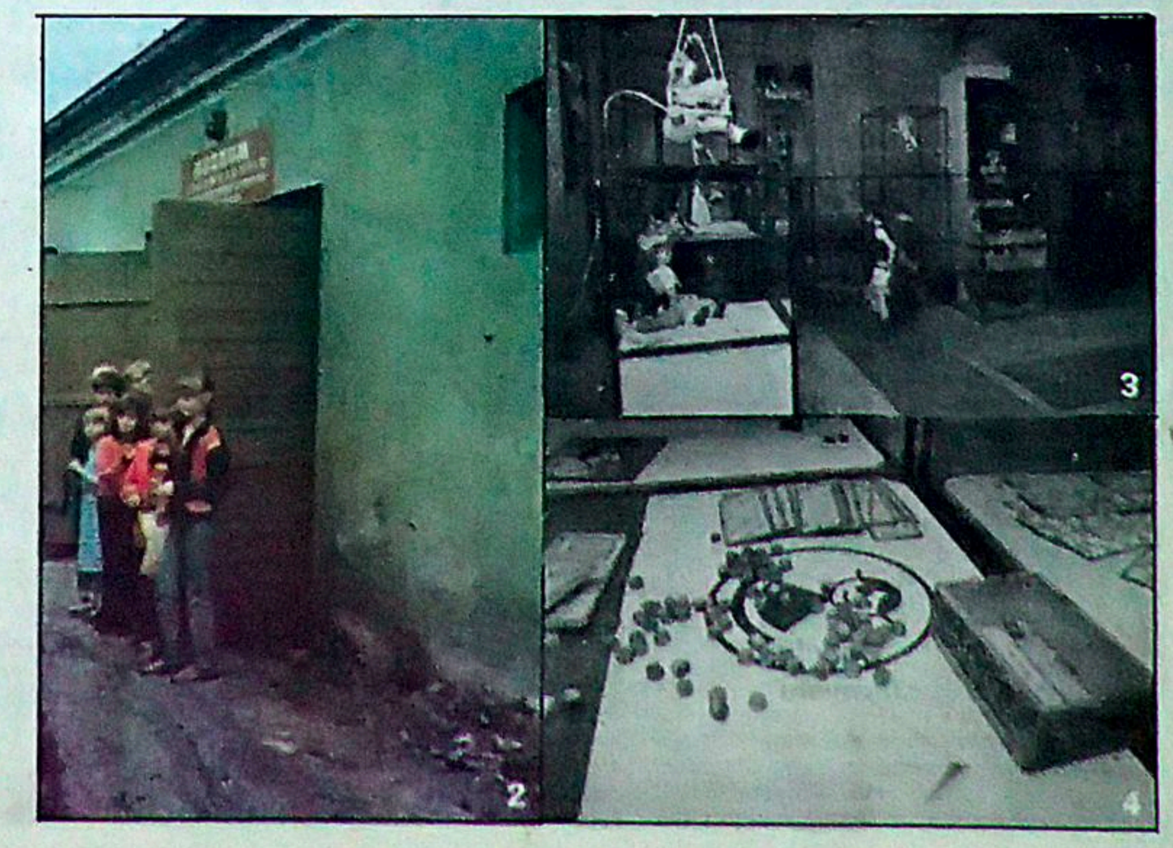

GWIAZDOZBIÓR

MAŁY SPRAWDZIAN LETNIEJ AKADEMII GWIAZDOZBIORU

Nadszedł ostatni dzień wakacji i równocześnie dzień zamknięcia Letniej Akademii Gwiazdozbioru. Mustang – symbol otwartych przestrzeni, nieprzetartych szlaków i letniej przygody po raz ostatni gości na naszych łamach. Nie znaczy to oczywiście, że nie będziemy więcej prezentować bohaterów westernu. Zdążyliśmy przedstawić ich w ciągu lata zaledwie ośmiu. Czy akurat tych, których lubicie najbardziej? Z pewnością nie. Wiemy, że są wśród Was miłośnicy choćby Lee Marvina, Anthon'ego Quina, Gregory'ego Pecka, Steve McQueena i wielu innych artystów, którym kowbojski kapelusz przysporzył sławy. Niemożliwe również było pokuszenie się nawet o próbę przedstawienia w naszych odcinkach przebogatej przecież i skomplikowanej historii rozwoju tego tak lubianego przez widzów gatunku. Mogliśmy ograniczyć się jedynie do przypominania tego, co warto pamiętać i do zwracania uwagi na pewne niezmienne atrybuty filmów o Dzikim Zachodzie i ich bohaterów.

Dlatego też nasz sprawdzian będzie sprawdzianem symbolicznym raczej niż rzeczywistym. Chcielibyśmy poprosić Was, drodzy czytelnicy o swobodną wypowiedź na temat: **„Przedstawiam bohatera westernu swoich marzeń"**. Może to być postać z ulubionego filmu, ale może to także być bohater zupełnie fikcyjny. Spróbujcie opisać jego wygląd, strój, cechy charakteru i zachowanie w konkretnej, koniecznie typowej dla westernu, sytuacji. Może z tego wyniknąć niezła zabawa a zarazem sprawdzian Waszej wiedzy o Dzikim Zachodzie, wyobraźni i... umiejętności literackich. Nie bójcie się przesady – w końcu „lemoniadowy Joe" – zrobił światową karierę! Na autorów najciekawszych prac czekają pamiątkowe niespodzianki do dnia 30 września br., kiedy to upłynie termin jaki sobie wyznaczamy na oczekiwanie na Wasze listy. Przypominamy adres: **Redakcja „Świata Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa** z dopiskiem na kopercie **„Wymarzony bohater westernu"**.

Pozostałoby tylko jeszcze życzyć Wam miłej zabawy, gdyby nie kartka do „Gwiazdozbioru" od wielbicielek Pierre Brice'a. Nie podpisały się, niestety, nawet imionami a nazwa miejscowości na stemplu pocztowym jest zatarta. Protestują one przeciwko informacji że oczy bohatera 11 pełnometrażowych filmów o Winnetou są niebieskie. A jednak, moje miłe, nie macie racji. Na dowód publikujemy barwne zdjęcie Brice'a. Mam nadzieję, że jakość reprodukcji pozwoli na rozwianie Waszych wątpliwości. Gdyby jednak w drukarni (pisząc te słowa nie jestem w stanie przewidzieć) nie udało się wyraźnie i wiernie przekazać wszystkich kolorów podam na okrasę nieco informacji o tym aktorze zawsze ich niesytym wielbicielom.

Pierre Brice nazywa się właściwie Pierre Le Bris. Urodził się 6 lutego 1929 roku w miejscowości Brest w Bretanii. Ukończył w Paryżu konserwatorium. Winnetou zagrał po raz pierwszy mając lat trzydzieści. Przedtem grywał małe role w teatrze i epizody w filmach... włoskich. Pewien rozgłos przyniosła mu jedna z pierwszych ról w dramacie psychologicznym „Szminka do ust". Podobno w 1961 roku grał też w „Ogniem i mieczem" (włoski film reżyserowany przez Riccardo Freda) – Skretuzky'ego (dalekie echo Skrzetuskiego), ale lepiej o tym zapomnieć, bo film ten miał się do literackiego pierwowzoru znacznie gorzej niż spaghettii – western do amerykańskich wzorców. Użyczył też swojej osoby takim włoskim filmom jak: „Kozacy", „Żona faraonów", „Niezwyciężony rycerz w masce" i „Zorro przeciw Maciste". Na naszych ekranach oglądaliśmy go również w rumuńskim filmie „Waleczni przeciw rzymskim legionom". Wszystko to były filmy lotów niskich, a i historie o wodzu Apaczów nie cieszyły się zbytnimi względami krytyki. Publiczność jednak pokochała go w tej roli, w której uosabiał wszystkie cechy bohatera godnego naśladowania, pracował na to przez siedem lat w przepięknej scenerii jugosłowiańskiego parku narodowego Jezior Płytwickich. Ostatni film z tej serii powstał w 1969 roku. Pierre Brice wrócił do Francji, w której był zupełnie nieznany (nie wyświetlano tam filmów o Winnetou) i zaczął budować swą karierę od początku. Jeszcze za wcześnie, by oceniać, jakie będą tego efekty.

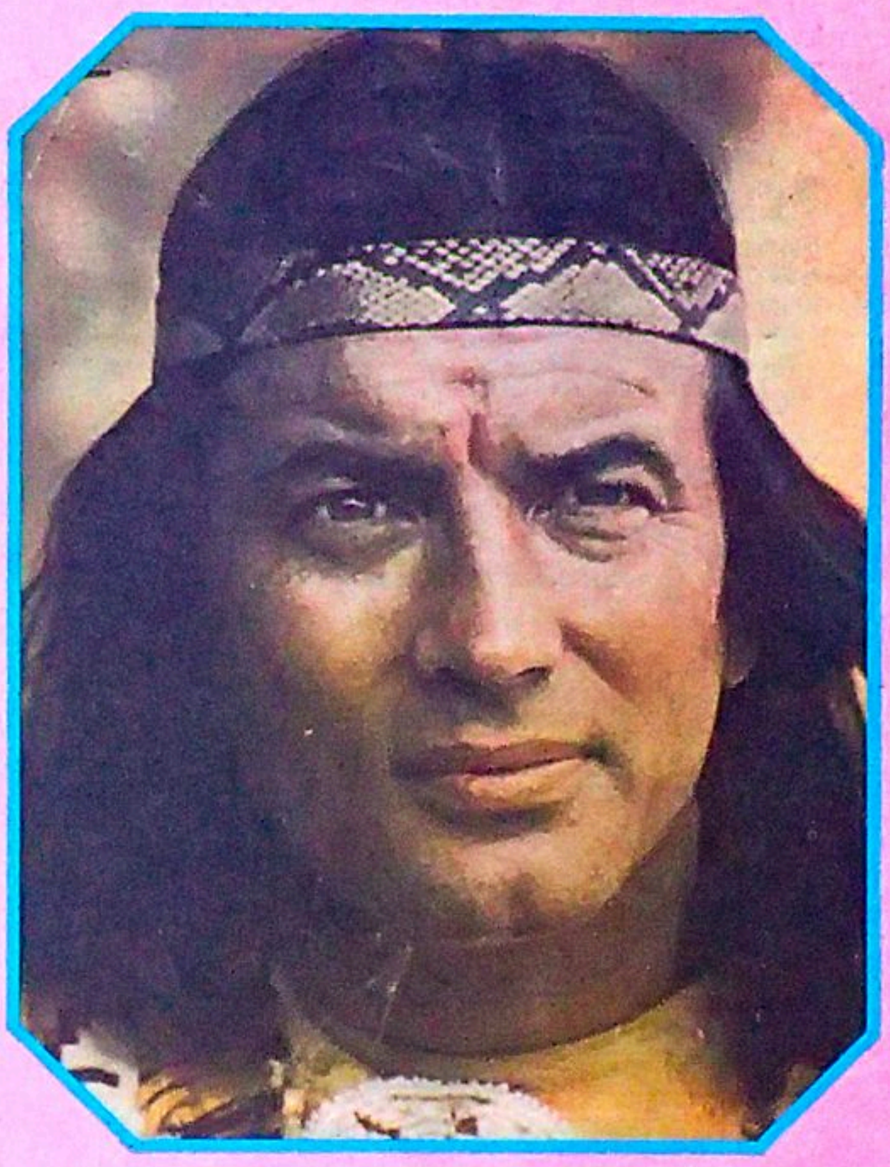

EWA BIELSKA

Fot. **archiwum**

DOM MODY świata młodych

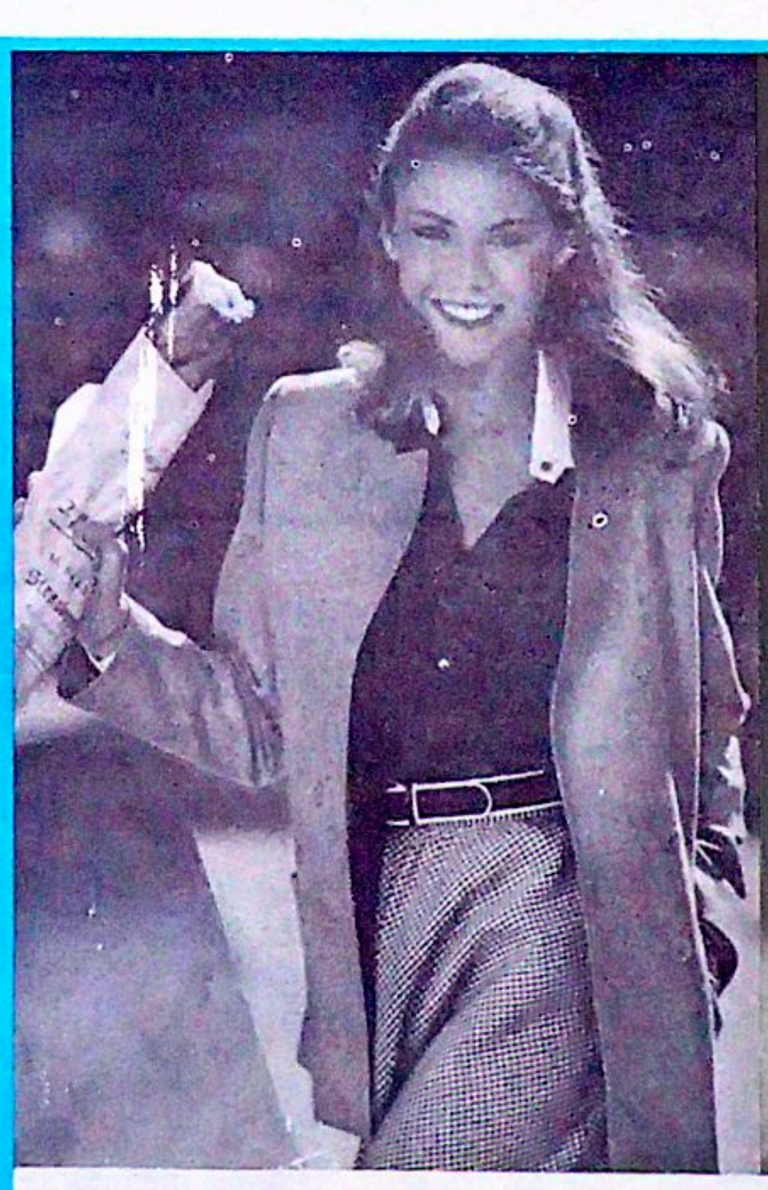

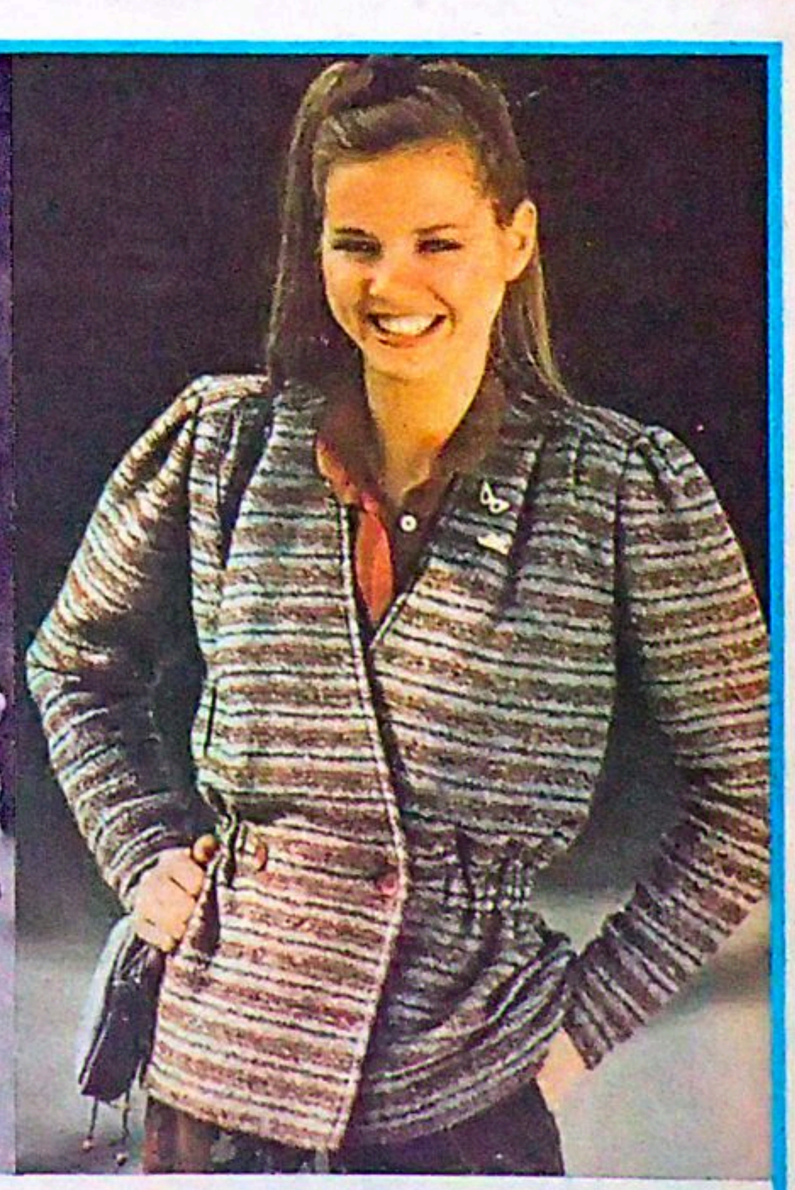

JESZCZE NIE JESIEŃ, ALE...

No właśnie. W momencie gdy zabieram się do pisania tego odcinka, upał panuje całkiem wściekły, ale jaka pogoda będzie gdy Wy będziecie go czytały – nie wiem. Równie dobrze może być gorąco jak i znacznie chłodniej. A jeśli nawet dzisiaj (tj. pod koniec sierpnia) jest bardzo ciepło, to za dni parę może być całkiem inaczej. Bo niby to jeszcze nie jesień, ale chłodniej na świecie być zaczyna. Zwłaszcza rankiem i wieczorem.

I chociaż z letnimi ciuchami pożegnać się jest bardzo przykro, to – nie ma rady, trzeba przyjąć do wiadomości, że po każdym (najbardziej nawet upalnym) lecie nadchodzi w końcu jesień. A wraz z nią i inne ciuchy. Takie, które człowieka są w stanie od chłodu uchronić. Oczywiście nie muszą to być od razu grubaśne paltoty i futrzane czapy – symbol mroźnej zimy. Koniec lata i wczesna jesień, to pora taka... bardziej przejściowa, a więc i ciuchy nań odpowiednie powinny mieć taki właśnie przejściowy charakter.

Ciuchem o takim właśnie charakterze jest lekka kurteczka (żakiecik, marynarka, wdzianko – nazw może być bez liku). Taka, którą można zarówno zarzucić na całkiem letnią sukienkę (np. rano lub wieczorem, gdy jest chłodniej niż w ciągu dnia), jak i założyć w charakterze „pary" do jakiejś cieplejszej spódnicy, a gdy włoży się pod nią grubszy sweter, to będzie to strój na dzień całkiem już nie letni.

Ze względu na swoj wielofunkcyjność (bo do różnych rzeczy się ma ją nosić) powinna być raczej gładka i w kolorze takim bardziej... obojętnym, tj. grającym w wielu różnych zestawieniach. Fasonów może być bardzo wiele, bardzo różnych. Od całkiem króciutkich poczynając do sięgających niemal kolan. Może być z kołnierzem albo bez kołnierza, ze stójką też być może, zapinana może być na guziki, na zamek błyskawiczny, na kołeczki jakieś drewniane albo i wcale nie zapinana tylko przewiązywana w talii paskiem, może wcale nie mieć kieszeni albo może ich mieć bardzo wiele... Słowem – różnorodność do n-tej potęgi. Jaka by nie była – będzie jak najbardziej na miejscu. Co szalenie jest wygodne, bo można w charakterze takiej przejściowej kurteczki wykorzystać wiele już istniejących ubrań. Może nie własnych, ale np. żakiet od nienoszonego już maminego kostiumu może być w tym celu (po ewentualnych drobnych przeróbkach) z powodzeniem wykorzystany. Czy jakiś inny poniewierający się w czeluściach domowych szaf ciuch. Radziłabym zrobić ich przegląd – okaże się, że kryją skarby wręcz niezmierne!

RIUSZKA

NA WŁASNYCH ŚMIECIACH

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

MUZEUM W CIĄGU MIESIĄCA

Pan Głębicki mówi, że prezes Zawistowski jest szalony i zaraża swoim szaleństwem innych ludzi. Bo kto to widział, żeby w ciągu miesiąca, mając dość ograniczoną ilość pieniędzy, przerobić magazyn tytoniowy na Muzeum.

– Ale usłyszałem: „musisz to zrobić" – mówi – i nie było odwołania. Zakasaliśmy z kolegą rękawy i do roboty. Prace murarskie, stolarskie, malarskie – wszystko robiliśmy sami! Bo tak zwane „siły fachowe" mają ceny, na które nas nie stać. Warunki na razie są dość skromne, mogliśmy więc wystawić tylko 1/4 naszych zbiorów. Nie ma tych najcenniejszych eksponatów, bo się o nie boimy ze względu na dużą wilgotność powietrza. Ale przyszłość przed nami, widzimy ją w różowych kolorach, bo jak prezes coś sobie zaplanuje, to nie ma odwrotu...

KIELCE STOLICĄ POLSKIEJ ZABAWKI?

O prezesie Zawistowskim mówiło się w tym artykule niemało. A jednak okazuje się, że jeszcze za mało, bo gdy się z nim spotykamy – mnie i Maryli zaczyna się kołować w głowach z wrażenia. Stworzenie Muzeum Zabawki, ekspozycja zabawki historycznej, współczesnej itd. itd., to poszczególne etapy planów, które już są w stanie realizacji. Ale na tym nie można poprzestać, bo jeśli Kielce mają być rzeczywiście STOLICĄ POLSKIEJ ZABAWKI, to nie wystarczy, że dzieci przyjdą sobie pooglądać je w Muzeum.

– Przy Muzeum będzie sklep z zabawkami – mówi pan Zawistowski. – Ale nie taki, w którym smętna pani stoi za ladą i smutnym wzrokiem patrzy na klientów. Zabawki bowiem trzeba sprzedawać z pasją. Mechaniczne muszą się poruszać, misia i lalkę będzie można przytulić, statki-łódki, koła ratunkowe będą pływać w basenach z wodą. Zresztą takich sklepów, jak ten przy Muzeum, zorganizujemy w Kielcach kilka.

– A skąd na przykład weźmiecie te zabawki – pytam nieśmiało znając ich niedobór na rynku.

– Jak to skąd? Przecież nasze Krajowe Zrzeszenie Spółdzielni Zabawkarskich jest już przygotowane do „wielkiego skoku"! Produkowaliśmy już takie zabawki, które były atrakcyjne nawet na rynkach zachodnich. Teraz jest trudniej, brakuje nam surowców. Ale to jest kryzys chwilowy i na pewno zaczniemy powoli produkcję na nasze możliwości. Wtedy będziemy mogli stworzyć sieć sklepów nie tylko w Kielcach, ale w całej Polsce.

Żegnając się z panem Zawistowskim, Głębińskim i Bąkiem jesteśmy obydwie przekonane, że jeśli polska zabawka ma za sobą takich właśnie ludzi, to na pewno nie zginie, ku radości, sądzimy, także naszych Czytelników.

HANNA MIERZEJEWSKA

---

14 sierpnia br. policja argentyńska prowincji Catamarca podała oficjalny komunikat, w którym informuje, że Niezidentyfikowany Obiekt Latający, czyli UFO, wylądował w kilku miejscach tego regionu i wzniecił pożary. Dwie osoby odniosły obrażenia, zniszczonych zostało jedenaście domostw oraz uprawy na stosunkowo dużym obszarze. Zdaniem policji UFO przybyło z kierunku zachodniego lecąc na niskiej wysokości i silnie świecąc. Siadło na moment na farmie, po czym uniosło się i poszybowało w kierunku północnym by opaść kilka kilometrów dalej. Wszędzie tam, gdzie obiekt zetknął się z gruntem, tam powstawał gwałtowny pożar. Poparzenia wspomnianych dwóch osób są poważne. Sady orzechowe, cytrusowe i winorośle zostały zniszczone w 50 procentach.

Tyle komunikat. Trudno dziś komentować powyższe zdarzenie, gdyż informacja policji argentyńskiej jest zbyt ogólnikowa i nieprecyzyjna. Np. sformułowanie, że UFO siadło na moment na farmie, po tym poszybowało kilka kilometrów dalej i opadło. Należałoby rozumieć, że obiekt osiadł na ziemi, ale nic o samym obiekcie nie wiemy. Tak jakby po wylądowaniu rozpłynął się we mgle. Być może władze argentyńskie w późniejszym czasie dokładnie wyjaśnią całe zdarzenie.

PREZES

MODEL WSZECHŚWIATA STACJONARNEGO

Pragnę w tym liście przedstawić czytelnikom „Tomika", jeden z najciekawszych, moim zdaniem, model wszechświata. Chodzi mianowicie o teorię wszechświata stacjonarnego. Teoria powstała w 1948 r., a autorami jej są wybitni astronomowie: Bondi, Gold i Hoyle. Według koncepcji wszechświata stacjonarnego obserwatorzy galaktyczni zawsze widzą taki sam obraz wszechświata, który trwa nieskończenie w takiej samej postaci ogólnej. Podstawą teorii jest twierdzenie autorów, iż w przyrodzie występuje ciągle samorzutny proces powstawania materii z niczego. Jest on co prawda bardzo powolny, gdyż w 1 litrze objętości przestrzeni, 1 atom wodoru tworzy się raz na 500 mld lat. To wystarczy jednak aby uzupełnić straty gęstości materii wywołane rozbieganiem się galaktyk. Wynika stąd niezmienność wszechświata w czasie i przestrzeni. Kosmos jest tu nieskończony, a pytanie o jego początek, albo koniec traci wszelki sens.

Przeciwnicy tej teorii przeciwstawiają jej obserwowaną ucieczkę galaktyk i odkrycie w 1964 r. tzw. promieniowania resztkowego (reliktowego) mającego być pozostałością po wielkim wybuchu, który zaprzecza teorii wszechświata stacjonarnego. Co do ucieczki galaktyk nie mamy pewności czy jest ona rzeczywiście rozszerzaniem się wszechświata. Ani optycznie, ani radiowo nie docieramy przecież do krańców kosmosu. Obszar będący w zasięgu teleskopów ma nazwę metagalaktyki, która obejmuje około 10 mld galatyk. Nadal nie wiemy czy jest to większa część wszechświata czy tylko jego skrawek. Trudno wykluczyć, że obserwowana ucieczka galaktyk jest tylko zjawiskiem lokalnym, drobnym zawirowaniem. W takim wypadku wszechświat może być tworem dość statycznym, a my bierzemy drobne, w skali całości mało znaczące zaburzenia, za obraz ekspandującego kosmosu.

Jeśli chodzi o promieniowanie resztkowe wielu specjalistów nie traktuje tego za dowód ostateczny. Od strony naukowej zagadnienie pozostaje nadal otwarte. Jak się wyraził jeden z autorów teorii najbardziej poglądową analogię tak przedstawionego kosmosu jest rzeka, którą stale przepływa woda i poszczególne krople są w ukierunkowanym ruchu, ale nurt pozostaje ten sam. Za największą z zalet tej teorii uważa on, że prawa natury w takim wszechświecie pozostają wiecznie niezmienione. Ponieważ jednak teoria ta nie jest udowodniona, musimy jednak liczyć się z ewolucją praw przyrody. Trzeba też podkreślić iż tę elegancką teorię, autorzy okupili postawieniem na głowie pewnych problemów fizycznych.

Jak już pisałem autorzy postawili twierdzenie iż w przyrodzie występuje samoistny proces powstawania materii z niczego. Istnieje jednak prawo zachowania energii, które głosi, że energia jest niestwarzalna i niezniszczalna. Jak wiadomo z teorii względności energia jest równoważna masie i może przekształcić się w masę, i odwrotnie. Autorzy teorii wyrażają przekonanie iż prawo zachowania energii jest prawem empirycznym (wyprowadzonym na drodze doświadczalnej) i w tym sensie nie zostaje zachwiane wprowadzoną przez nich poprawką. Poglądy uczonych na tę sprawę są różne. Jedni uważają, że jakakolwiek kreacja materii rujnuje od podstaw gmach fizyki, obalając jej teoretyczne podstawy. Inni zastanawiają się czy prawo zachowania energii jest wyłącznie prawem empirycznym, a ustalenie prawdy należy zapewne do przyszłości. Postępy techniki obserwacyjnej oraz umieszczanie coraz doskonalszej aparatury na sztucznych satelitach pozwalają żywić nadzieję, że niebawem uda się wyprowadzić kosmologię z impasu w jakim się dzisiaj znajduje.

Roman Bocheński

PLANETOIDA, KTÓRA ZABIJA

Ostatnio na łamach prasy amerykańskiej ukazała się notatka, że Stany Zjednoczone mają zamiar śledzić planetoidy (planetoidy, zwane inaczej asteroidami, są to ciała niebieskie będące po prostu bryłami skalnymi o średnicy od kilkuset metrów do kilkuset kilometrów). Żądni sensacji dziennikarze zaczęli zaraz doszukiwać się w notatce prasowej podtekstów i spekulować czy aby nie grozi nam katastrofa i czy oficjalny komunikat nie jest pierwszym krokiem przygotowującym opinię publiczną na wiadomość o zbliżającej się kosmicznej apokalipsie. Wprowadzono nawet specjalny termin: „Killer Asteroid" czyli „Planetoida, która zabija..."

Autorami projektu śledzenia planetoid są astronomowie: Tom Gehrels i Eugene Shoemaker. Zaproponowali oni NASA zbudowanie tzw. Spacewatch Camera, czyli w wolnym tłumaczeniu – kamery lustrującej kosmos, która zamontowana w obserwatorium Kitt Peak, pozwalałaby śledzić tory planetoid, uzyskiwać wskazówki na temat ich struktury, wielkości, składu chemicznego etc. Wśród celów drugorzędnych wymieniono ewentualne badania torów planetoid pod kątem możliwości ich przecięcia się z torem Ziemi. Zadajemy sobie pytanie: na ile realna jest groźba, że jakaś planetoida uderzy w nasz glob?

Trzeba powiedzieć, że planetoidy spadały już na powierzchnię Ziemi, o niektórych wiemy z kraterów, jakie pozostawiły, innych domyślamy się. I np. wielu naukowców sądzi, że słynna eksplozja na Syberii w 1908 r. spowodowana została właśnie przez planetoidę. Ostatnio grupa biologów przedstawiła teorię, w myśl której właśnie planetoida spowodowała wyginięcie dinozaurów 65 mln lat temu.

Obecnie w naszym układzie istnieje 1,5 tys. planetoid o średnicy nie mniejszej niż 1 km. Największą planetoidą jest Ceres, a jej średnica wynosi 468 km. Obliczeń rozmiarów potencjalnej katastrofy wywołanej uderzeniem planetoidy w Ziemię dokonywano już nieraz. Obliczono, że jeżeli planetoida o średnicy 10 km uderzyłaby w naszą planetę, to skutek byłyby w przybliżeniu równoważny wybuchowi 10 mln bomb atomowych, każda o mocy równej tej, która spadła na Hiroszimę. Dość znane jest również oszacowanie E.J. Opika, który obliczył, że gdyby planetoida o średnicy 24 km, lecąca z prędkością 20 km/sek. uderzyła gdziekolwiek w stały glob, zniszczyłaby kompletnie obszar równy połowie kontynentu azjatyckiego. Pocieszmy się: szansa na to, że jakaś planetoida uderzy w Ziemię jest równa rzędu 1 na 100 mln. Jest to wielkość wystarczająco mała, by planetoidowego zagrożenia nie traktować jako realnej ewentualności. Tym nie mniej autorzy projektu Spacewatch Camera twierdzą, że biorąc pod uwagę straszliwe skutki uderzenia planetoidy w ziemski glob, warto pomyśleć jak się przed taką groźbą zabezpieczyć, nawet jeśli prawdopodobieństwo jej zmarterializowania się jest małe. Dzięki wspomnianej kamerze będzie można odpowiednio wcześnie wykryć zagrożenie i podjąć kroki w celu jego zlikwidowania, np. przez wystrzelenie rakiet, które uderzając w planetoidę zmieniłyby tor jej lotu. Decyzja o budowie kamery jeszcze nie zapadła, jest to kwestia kilku miesięcy. Może przynajmniej przed planetoidami będziemy bezpieczni.

Grzegorz Panek

KĄCIK KORESPONDENTÓW

-Astronomią i astronautyką interesuje się: **Jarosław Jóźwiak** Z chęcią nawiąże korespondencję z koleżankami i kolegami, którzy posiadają materiały dotyczące lotów, kłopotów i nowych zadań wahadłowca Columbia (ewentualnie Enterprise lub promów Challanger, Discovery, Atlantic) – pisze **Rajmund Sułkowski**

Chciałbym poinformować o istniejącym Młodzieżowym Klubie Miłośników Astronomii „Altair", który zrzesza osoby interesujące się astronomią, astronautyką, astrofizyką, CETI i fantastyką naukową. Osoby, które ukończyły 13 lat, a także pragnęłyby z nami współpracować mogą pisać na adres: **Wojciech Kupper**

Astronomią, astronautyką, życiem pozaziemskim oraz Trójkątem Bermudzkim, NOL: **Aldona Nawrot**

Janusz Korkuć

Iwona Wall

Interesują się kosmosem i jego zagadkami: **Maciej Bancerek,**

UWAGA: zgłaszając swoje nazwisko do kącika korespondentów nie zapomnij podać krótko sprecyzowanych zainteresowań, dokładnego adresu oraz koniecznie swego wieku lub klasy, do której uczęszczasz.

ło, raczej wyczuł ruch powietrza, niż usłyszał. Wstał i czekał jeszcze przez chwilę, od czasu do czasu spoglądając w niebo w oczekiwaniu kolejnych lotów niewidocznego ptaka. Księżyc już zaszedł, a gwiazd było więcej, spróbował rozpoznać konstelacje, jakie pokazywał mu kiedyś ojciec, kiedy nocą taką jak ta leżeli na podobnej łące i patrzyli w górę, a ojciec mówił o ludziach, którzy może tam żyją, a potem nazywał konstelacje i kierując rękami chłopca, celował w nie, a jeszcze później leżeli już w milczeniu i chłopiec zasnął, a rano obudził się w łóżku, ojciec spał obok i kiedy chłopiec poruszył się, ojciec otworzył jedno oko i powiedział, że gwiazdy zniknęły. Wtedy chłopiec przestraszył się, boso podbiegł do okna i pchnął okiennice, buchnęło światło – to było zeszłego roku na wsi.

Ruszył w górę i trawa znów gwizdała w rytmie jego kroków, natknął się w ciemności na płot, szedł wzdłuż niego, zakręcił, trzasnęła jakaś gałąź i blisko zaszczekał pies, chłopiec zawrócił i pobiegł, i chociaż nikt nie mógł go widzieć w biegu, starannie ocierał łzy, a potem wpadł w miękki wał, zaplątał się, przewrócił, chwycił pełne garście siana, wpełzł w nie i znieruchomiał.

Gdy otworzył oczy, było widno, tuż przed nim znad lasu unosiła się ogromna tarcza słońca otoczona różowym woalem, wydawało się, że wygładza się leniwie, przez opuszczone rzęsy można było dostrzec powolny ruch, nieskładny i zaspany, jakby słońce także musiało się przeciągnąć, by przez cały dzień porządnie pogrzać.

Obok, na pół zanurzywszy stopy w sianie, siedział Czteropalcy i uważnie obserwował chłopca, nie poruszył się nawet, gdy ich oczy spotkały się, tylko powolny uśmiech rozciągnął jego wargi, a okaleczona ręka, przytrzymująca kolano, lekko drgnęła.

Chłopiec nie zdziwił się, czekał na Czteropalcego, energicznie odgarnął suchą trawę i starannie strząsnął ją z ubrania. Czteropalcy wstał i zaczął mu pomagać, otrzepując plecy, a potem z szerszym uśmiechem, delikatnie zdjął z ramienia chłopca jeszcze jedno źdźbło, pokazał je i odrzucił, wreszcie lekko dotknął włosów chłopca.

– Nie mam grzebienia.

Czteropalcy przytaknął i rozłożył ręce, a potem rozczapierzył palce i przesunął je, zanurzając, po swoich włosach. Chłopiec kiwnął głową i powtórzył jego gest.

– Idziemy tam? – spytał, wskazując na dom.

Czteropalcy odwrócił się i długo studiował obejście. Dom był murowany, biały, miał szary dach i zielone okiennice. Otaczał go porządny płot, za którym czujnie poruszał się pies. Obserwował ludzi. Czteropalcy potrząsnął głową, dotknął rękawa chłopca i ruszył w dół, ku szosie, poprowadził, nie oglądając się, bo słyszał kroki chłopca gwiżdżące w trawie, przecięli jezdnię, zanurzyli się w las pełen ptasich głosów, choć wydawało się, że drzewa jeszcze spały, i tam Czteropalcy wyszukał ledwie widoczną ścieżkę, obramioną drobnymi, białymi kwiatkami, wiła się omijając drzewa i już po chwili chłopiec stracił poczucie kierunku.

Czteropalcy od czasu do czasu odwracał się i uśmiechał, miał drobne, białe zęby, które przy uśmiechu odsłaniał, i to był prawdziwie oślepiający uśmiech, chłopiec nigdy nie widział równie mocno opalonej twarzy. Czteropalcy ubrany był w te same, co kiedyś, drelichowe spodnie, na które zwieszała się kraciasta koszula, rozpięta, na nogach miał nadal brudne tenisówki bez sznurowadeł, ale chłopiec prawie tego nie dostrzegał, patrzył w twarz Czteropalcego, brązową, na jaśniejszą bliznę, przecinającą czoło, w szare oczy, w biały, oślepiający uśmiech i zastanawiał się, czy Czteropalcy poprowadzi go od razu do jakiegoś nowego talizmanu. A może ma coś jeszcze lepszego? Nie wiedział, co by to mogło być, ale żywił głębokie przekonanie, że takie rzeczy muszą istnieć.

Drzewa zrzedły, tu były już tylko młode brzózki, rosnące kępami wśród wysokich traw o puszystych kitach, ścieżka rozszerzyła się i chłopiec szedł teraz obok Czteropalcego, od czasu do czasu podnosząc wzrok i spotykając nieodmiennie ten sam uśmiech, połączony z szybkim skinieniem głowy. W jakimś prześwicie zarysował się kształt niskiego budyneczku, potem obok ścieżki pojawiła się metalowa siatka, jeszcze jeden domek, drewniany, dalej znów kilka, potem ogrodzenie odbiegło w bok, Czteropalcy zeszedł ze ścieżki i pobrnął w piachu, porośniętym rzadkim perzem, ku na pół rozwalonej szopie, wniknął w nią, wyciągnął z ciemności rękę i pomógł chłopcu dostać się do środka.

Cdn.

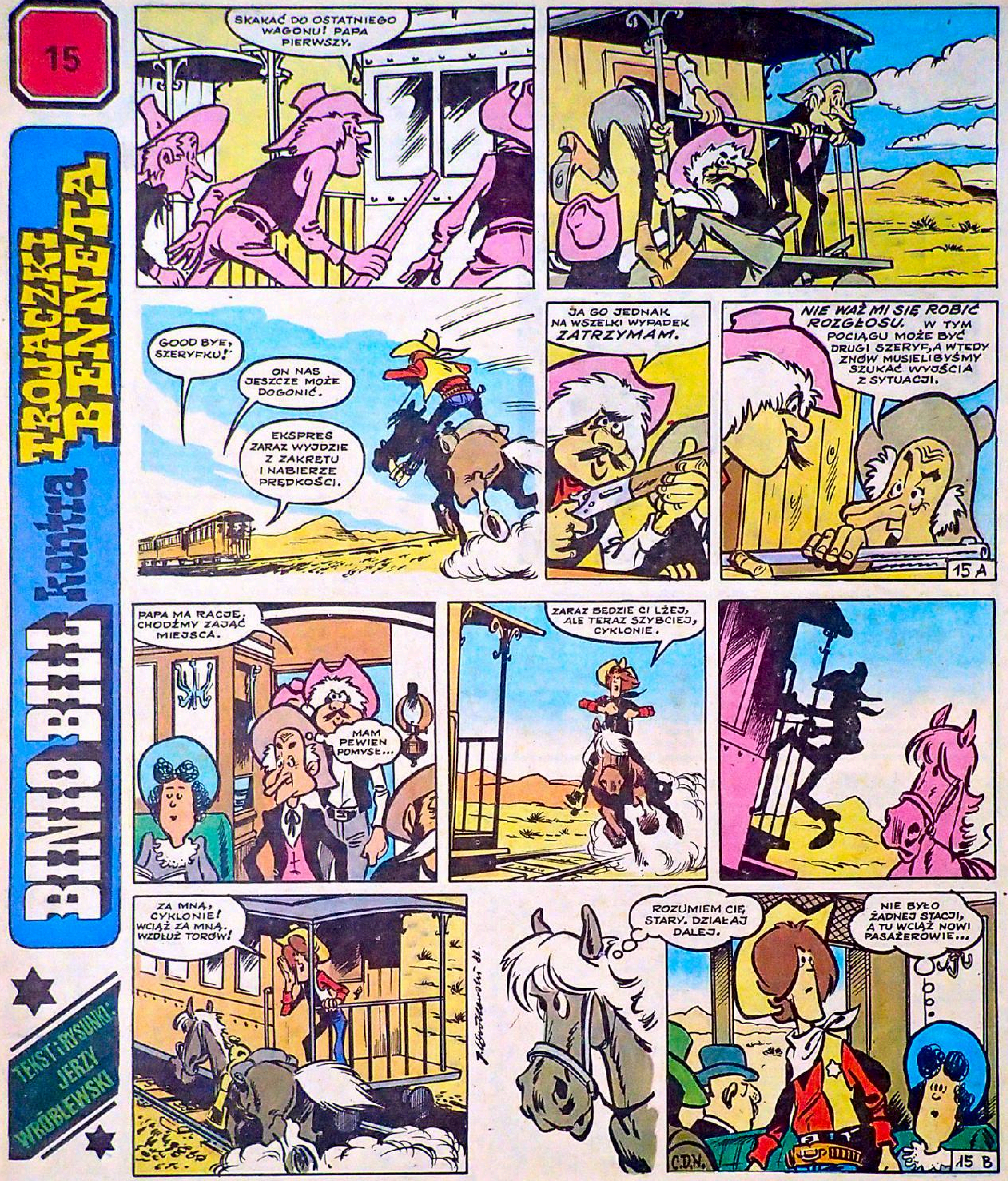

ŚWIAT MŁODYCH

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Sebastian Paszczenko

Opracowanie techniczne
Bogumiła Szczupakowska

Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 3618/G. Z-35

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

MICHAS PO RAZ PIERWSZY w życiu poszedł z mamą do lasu i usłyszał kukułkę.

– Mamusiu, gdzieś tu wisi nasz zegar...

*

– TO ŚMIESZNE, gdy ktoś nazywa się Kowal a jest kominiarzem, albo Kucharski a jest piekarzem!...

– Ty też nazywasz się Brzytwa a jesteś tępy!

Upił łyk. O dwa stoliki dalej siedziała inna dziewczyna, ta, która go opuściła. Szybko mówiła coś do swojej towarzyszki. Rybak odwrócił się niechętnie, chociaż wszyscy mężczyźni w kawiarni patrzyli na dziewczynę, która go porzuciła. Miała klasyczne, nieruchome rysy i posągową figurę. Nie pamiętał już o niej. Nie poznałby jej na ulicy.

– Mam jeden pomysł – szepnęła pielęgniarka. – Jedyne miejsce, do którego on mógł pójść, jest niedaleko stąd. Za miastem.

Rybak kiwnął głową. Popatrzył na swoją rękę, dziewczyna cofnęła palce, sięgnął po nie znów.

– Szarooka – powiedział. – Tak będę cię nazywał.

Szarooka znów cofnęła palce.

– Pojedziemy tam?

Chyba nie pytała wcale, bo wiedziała już, że pojadą, i nie musiał odpowiadać, ale skinął głową. Pojadą i znajdą wszystko, wystarczy tylko szukać. Już wiedział, kim był chłopiec. Przypomniał sobie przyjaciela, który miał syna.

– Musimy ułożyć plan – powiedział. – Chodźmy stąd, Szarooka.

Dziewczyna roześmiała się pobłażliwie.

– Plan? Trzeba pojechać i już.

4.

Droga była tak łatwa. Chłopiec miał pewność, że każda ulica prędzej czy później przemienia się w szosę, a najlepsze są te, przy których nocą księżyc biegnie za palisadę topoli. Nie spieszył się, ponieważ nie wiedział, jak daleko ma dojść, ale był pewien, że ma dość czasu. Kiedy ostatnie domy zostały za nim i wyszedł zza ogrodzeń, za którymi połyskiwały kopuły upraw pod folią, przystanął na srebrnym strumieniu asfaltu, obramionym czarnymi, mętniejącymi w dali mgłą, polami. Topole były tuż przed nim i wyznaczały dalszą drogę.

Od czasu do czasu słyszał szczekanie psów, to wyprzedzało go, przekazywane od domostwa do domostwa, to biegło naprzeciw, a potem cisza gęstniała, a mrok otulał bardziej miękko i poruszał się ciepłymi, wilgotnymi powiewami. Samochodów prawie nie spotykał – z dala dostrzegał ostrza ich świateł i wtedy wchodził w rów, brnął w mgle i przystawał za najbliższym pniem zawsze dotykając go rękoma i policzkiem.

Z tamtego miejsca, do którego podążał, pamiętał tylko trawę, ale pielęgniarka opisała mu je: skrzyżowanie szosy z biegnącą na ukos nierówno drogą o rzadkich kawałach starego asfaltu, w wąskim klinie podnoszący się stok miękkiej łąki – może to była ta łąka, na której leżał – a na szczycie niewielki dom z szarym dachem, po drugiej stronie las, który tam właśnie się zaczynał, bo z miasta do tamtego miejsca jechało się ciągle przecinając płaskie pola.

Miał nadzieję, że to wszystko zobaczy, bo nisko wiszący księżyc świecił mocno, choć pełnia minęła. Na pewno dostrzeże dom i las, umiał to sobie wyobrazić: dom jak czarną wycinankę na tle jaśniejszego nieba, a las jak szeleszczącą ścianę – i kiedy wreszcie doszedł, tak właśnie było: dom wyciągał ku gwiazdom wysoki komin, a las szumiał cichutko, i chłopiec nie zatrzymując się przekroczył płytki rów, dostał się na łąkę i słuchał, jak jego nogi z cichym, gładkim syczeniem rozgarniają trawę. A potem się położył, bo wtedy, po wypadku, też leżał – i zamknął oczy. Trawa była wilgotna, ale przytulna. Postanowił tak leżeć, póki nie przemoknie, choć miał nadzieję, że będzie mógł się podnieść wcześniej, bo przyjdzie Czteropalcy. Nie wytrzymał jednak długo. Wilgoć dostała się pod sweter, chłopiec usiadł i przez chwilę gimnastykował się energicznie. W pobliżu coś przelecia-

Dokończenie na str. 7